

Agata Ożarowska-Nowicka

LEŚNICY

pasją





LEŚNICY
Agata Ożarowska-Nowicka

pasją



<i>Wstęp</i>	6
KTOŚ KIEDYŚ POKAZAŁ MI LAS	
<i>Zbigniew Kłapa</i>	8
BO ŻYCIE NIE PRZECIEKA MI PRZEZ PALCE	
<i>Krzysztof Lewicz</i>	14
PO PROSTU NAŁÓG TAKI	
<i>Marcin Szwarc</i>	18
CZASEM BUDZI SIĘ WE MNIE NIEDŹWIEDŹ	
<i>Damian Grzybowski</i>	24
WIERZĘ W DOBRYCH LUDZI	
<i>Antoni Kasprzak</i>	30
OD DZIECKA Z APARATEM ZA BIELIKAMI LATAŁEM	
<i>Waldemar Błaźniak</i>	36
ŻEBY ZARAŻAĆ PASJĄ, TRZEBA JĄ NAJPIERW ODKRYĆ W SOBIE	
<i>Tomasz Sobalak</i>	42
PUSZCZA MNIE WYCHOWAŁA, WYKSZTAŁCIŁA, TU PRACUJĘ I TERAZ SIĘ ODPLACAM	
<i>Beata Nadolna</i>	46
LATANIE LATANIEM ALE NAJWAŻNIEJSI SĄ LUDZIE	
<i>Dariusz Lisiecki</i>	52
CODZIENNIE ZDARZA SIĘ COŚ NOWEGO	
<i>Antoni Filipowicz</i>	58
ZAWSZE PODZIWIAŁEM JEGO UMIEJĘTNOŚĆ MODLITWY	

<i>Stefan Matysiak</i>	62
PAMIĘTAM TEN DZIEŃ...	
<i>Jarosław Krzyżostanek</i>	66
ZAWSZE LUBIŁEM SIĘ CHOWAĆ	
<i>Rafał Śniegocki</i>	70
MOTYLE OTWIERAJĄ MI OKNO NA ŚWIAT	
<i>Andrzej Antowski</i>	76
JESTEM DUMNY, ŻE MOGĘ NOSIĆ MUNDUR LEŚNIKA	
<i>Tomasz Furmańczyk</i>	82
CIĄGNIE CZŁOWIEKA DO ROBIENIA HUKU	
<i>Ryszard Wagner</i>	88
WYCHOWAŁEM SIĘ W KULCIE SZTUKI I PRZYRODY	
<i>Piotr Grześ</i>	94
DOCIŚNIJ, BO BĘDZIESZ ŻAŁOWAŁ	
<i>Paweł Komorowski</i>	100
JAK MOŻNA NIE KOCHAĆ POLSKIEJ SZABLI?	
<i>Paweł Mizera</i>	106
TAFLA WODY TO BARIERA, KTÓRA KRYJE ZA SOBĄ PEWNĄ TAJEMNICĘ	
<i>Andrzej Skibiński</i>	112
MOIM ŻYCIORYSEM JEST LAS	

Wstęp

Ktoś kiedyś pokazał mi las

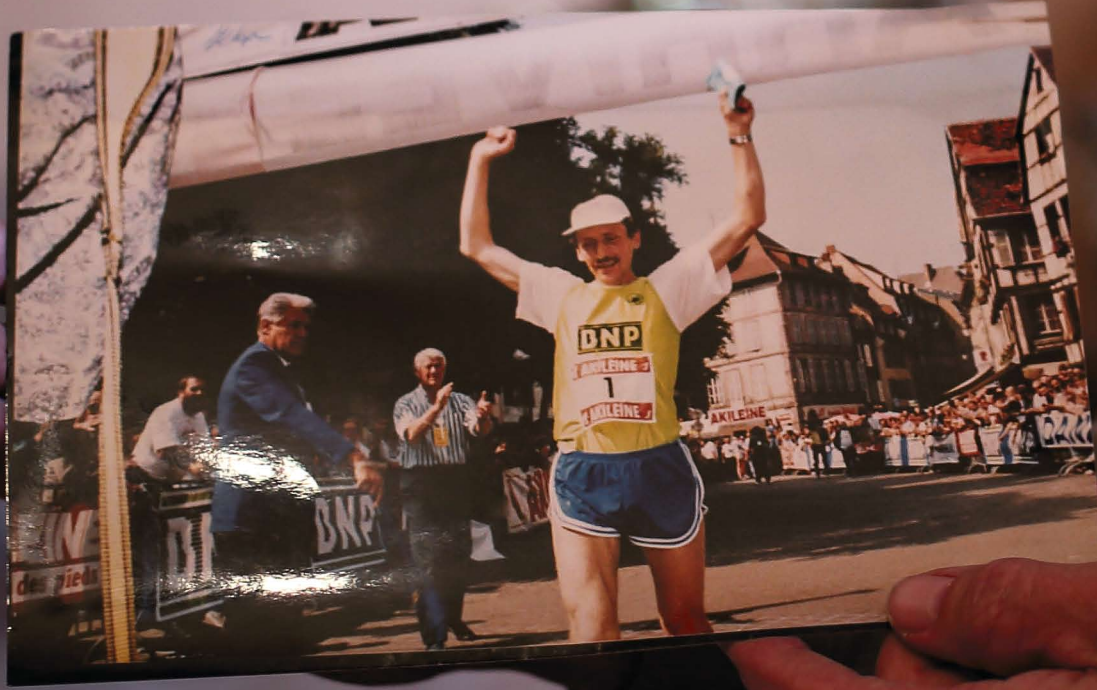
Odkąd pamiętam, był on pełen dźwięków, kęp srebrzystego mchu, jeżyn, malin, poziomek, tarniny i jarzębiny. W dziuplach i wśród krzewów mieszkaly ptaki, w ściółce mrówki, a między drzewami pająki zawieszały swoje misternie tkane sieci. Był światem pełnym tajemnic i nowych odkryć, pełnym opowieści i ludzi, znanych mi tylko z rodzinnych wspomnień. Ślady pamięci i nierzadko przytaczane sytuacje tamtych czasów były nieodłącznym elementem mojej codzienności. Rosły wraz ze mną, podobnie jak drzewa, których różnorodność od zawsze mnie fascynowała i które nieustannie podziwiam podczas każdego leśnego spaceru.

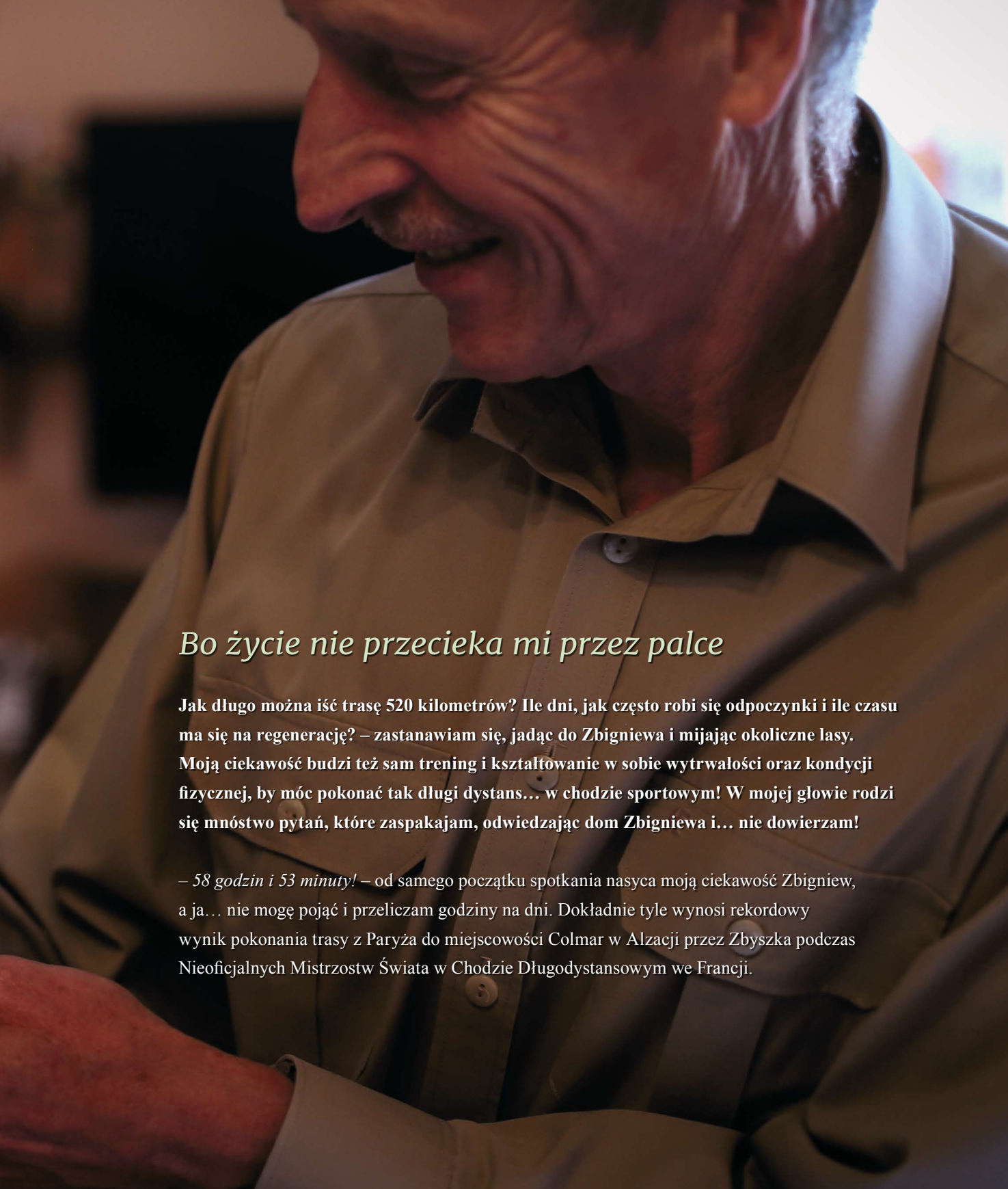
W życiu leśników las jest przestrzenią i czasem, wyznacza kierunki, nadaje rytm myślom i działaniom. Publikacja ta to kolejna wyjątkowa wyprawa w leśny świat, pełen rozmaitych pasji ludzi, którzy jak niepowtarzalne drzewa są raz głęboko, raz płycej zakorzenione w leśnej tradycji. Zawarte w książce teksty i fotografie to utrwalona wędrówka ścieżkami lasu, który kształtował nietuzinkowe zainteresowania moich rozmówców. Czas, żeby każdy mógł wyruszyć tą ścieżką i odkryć inną leśną przestrzeń – miejsce spotkań, wymiany myśli i emocji. Czas pokazać ten las Tobie...

Agata Ożarowska-Nowicka

Zbigniew Kłapa

sekretaarz, Nadleśnictwo Grodzisk





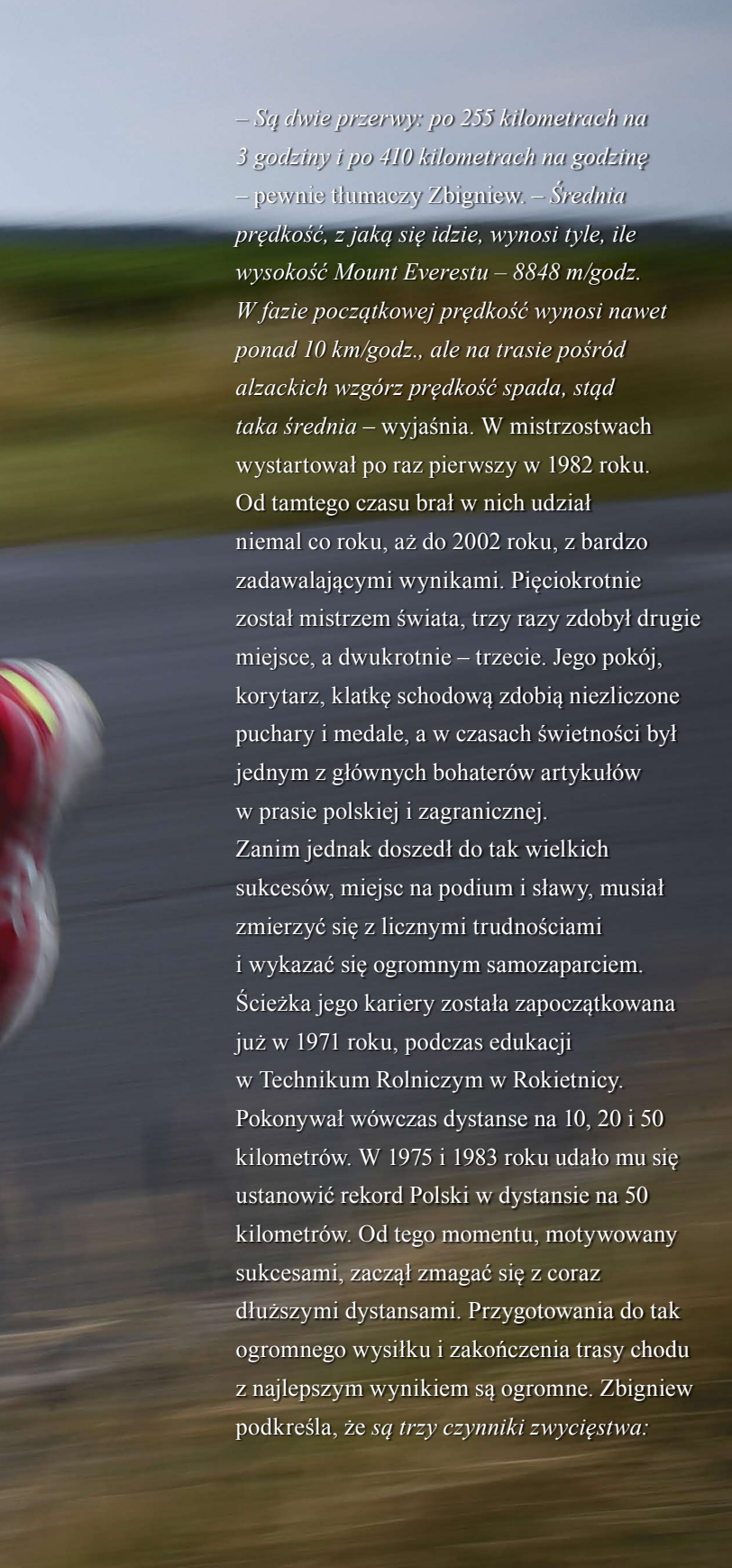
Bo życie nie przecieka mi przez palce

Jak długo można iść trasę 520 kilometrów? Ile dni, jak często robi się odpoczynki i ile czasu ma się na regenerację? – zastanawiam się, jadąc do Zbigniewa i mijając okoliczne lasy.

Moją ciekawość budzi też sam trening i kształtowanie w sobie wytrwałości oraz kondycji fizycznej, by móc pokonać tak długi dystans... w chodzie sportowym! W mojej głowie rodzi się mnóstwo pytań, które zaspakajam, odwiedzając dom Zbigniewa i... nie dowierzam!

– 58 godzin i 53 minuty! – od samego początku spotkania nasycza moją ciekawość Zbigniew, a ja... nie mogę pojąć i przeliczam godziny na dni. Dokładnie tyle wynosi rekordowy wynik pokonania trasy z Paryża do miejscowości Colmar w Alzacji przez Zbyszka podczas Nieoficjalnych Mistrzostw Świata w Chodzie Długodystansowym we Francji.





– Są dwie przerwy: po 255 kilometrach na 3 godziny i po 410 kilometrach na godzinę – pewnie tłumaczy Zbigniew. – Średnia prędkość, z jaką się idzie, wynosi tyle, ile wysokość Mount Everestu – 8848 m/godz. W fazie początkowej prędkość wynosi nawet ponad 10 km/godz., ale na trasie pośród alzackich wzgórz prędkość spada, stąd taka średnia – wyjaśnia. W mistrzostwach wystartował po raz pierwszy w 1982 roku. Od tamtego czasu brał w nich udział niemal co roku, aż do 2002 roku, z bardzo zadawalającymi wynikami. Pięciokrotnie został mistrzem świata, trzy razy zdobył drugie miejsce, a dwukrotnie – trzecie. Jego pokój, korytarz, klatkę schodową zdobią niezliczone puchary i medale, a w czasach świetności był jednym z głównych bohaterów artykułów w prasie polskiej i zagranicznej. Zanim jednak doszedł do tak wielkich sukcesów, miejsc na podium i sławy, musiał zmierzyć się z licznymi trudnościami i wykazać się ogromnym samozaparciem. Ścieżka jego kariery została zapoczątkowana już w 1971 roku, podczas edukacji w Technikum Rolniczym w Rokietnicy. Pokonywał wówczas dystanse na 10, 20 i 50 kilometrów. W 1975 i 1983 roku udało mu się ustanowić rekord Polski w dystansie na 50 kilometrów. Od tego momentu, motywowany sukcesami, zaczął zmagać się z coraz dłuższymi dystansami. Przygotowania do tak ogromnego wysiłku i zakończenia trasy chodu z najlepszym wynikiem są ogromne. Zbigniew podkreśla, że są trzy czynniki zwycięstwa:

dobry trening, odporność psychiczna i „jako takie zdrowie”. Szczególnie nie mogą szwankować układ pokarmowy i nogi. Odpowiednie wytrenowanie wiąże się z ogromnymi wyrzeczeniami i podporządkowaniu wielu spraw, szczególnie związanych z życiem rodzinnym, rozwijającej się karierze sportowca. Dlatego też, nawet dziś, Zbigniew po ośmiogodzinnym dniu pracy zjada obiad, następnie rusza na 20-kilometrowy trening chodu, a po nim gra w piłkę nożną. Dopiero później zajmuje się sprawami osobistymi. W latach największych sukcesów Zbigniew i jego żona musieli zmagać się z ograniczeniami panującego wówczas ustroju politycznego. Dużym utrudnieniem było między innymi uzyskanie wizy na wyjazd za granicę, by brać udział w zawodach, czy przestrzeganie odpowiedniej diety. Początkowe starty w mistrzostwach świata były także obciążone dodatkowymi problemami ze względu na brak posiadania przez Zbigniewa zespołu wspierającego podczas całej trasy. Dopiero w 1989 roku, po ukazaniu się reportażu w telewizji francuskiej na temat jego sukcesów, otrzymał wsparcie. – *Taka ekipa liczyła od piętnastu do dwudziestu osób. Składała się między innymi z lekarza, dwóch lub trzech kierowców. Pozostałe osoby miały obowiązek dbania o moje bezpieczeństwo, pilnowania, czy nie padam z wycieńczenia, czy mimo traconej świadomości dają radę iść. Inne osoby dbały o to, żeby podczas chodu podać mi lekkie, z reguły płynne jedzenie, picie, a także*

wybiec z taboretem i szybko pomóc mi zmienić obuwie. Żeby nie zasnął podczas marszu, z głośników samochodu była puszczana cały czas głośna, marszowa muzyka – wspomina. – Bywało też tak, że gdy byłem wycieńczony, zespół trochę mnie oszukiwał i zakrywał tablicę drogową z odległością do Colmar, żeby nie widział, jak dużo kilometrów jeszcze zostało. Czasami pilnowali, abym nie zboczył do rowu! – śmieje się Zbigniew. – Bo wszystko trzeba przezwyciężyć: odparzenia, ból, często głód. Ale najważniejsza jest psychika – podkreśla. – Mało kto dałby radę iść z taką prędkością prawie bez odpoczynku przez trzy dni i nie spać przez trzy noce. Pierwsza noc to jeszcze pół biedy – wspomina z przejęciem. – Druga też, załóżmy. Ale już podczas trzeciej nocy człowiek tracił świadomość. Często patrząc na góry Alzacji, myślałem, że jestem w Zakopanem! Człowiek po prostu nie wiedział, gdzie jest – obrazuje swoje wycieńczenie Zbigniew.

Satysfakcja z dotarcia na metę, wejścia do urokliwego miasteczka Colmar, gdzie jest się witanym przez widzów, a przede wszystkim ze stania na podium, jest nieopisana. – Zapomina się o trudach, rezygnacji z czasu wolnego i innych wyrzeczeniach, kiedy słyszy się „We are the champions” na podium – opowiada Zbigniew. – To zawsze były trudne wybory – podporządkowanie życia karierze męża, ale momenty zwycięstwa utwierdzały nas, że było warto – dodaje żona Zbigniewa, bez której wsparcia i akceptacji tak wielka kariera nie



byłaby możliwa. Sukcesy leśnika nie dotyczą jedynie mistrzostw świata we Francji i pokonywania trasy 520 kilometrów. Zawody te poprzedzały mistrzostwa na krótsze dystanse oraz eliminacje na 200 kilometrów, w których do dziś Zbigniew ma ustanowiony rekord świata. Wynosi on 19 godzin, 55 minut i 7 sekund!

Niewątpliwie zwycięstwa najbardziej motywują, by wystawiać swój organizm na tak wielki wysiłek i nieustannie poddawać go próbie. – Bywały jednak momenty bardzo trudne – porażki, które powodowały, że kończenie kariery było kilkanaście razy



– przyznaje Zbigniew. – *Było to głównie zniechęcenie przez trud związany z organizacją wyjazdu na zawody. Przeżywałem też porażki związane z wycofaniem z marszu ze względu na zły stan zdrowia, a raz nawet szedłem z pękniętą kością piszczelową i dopiero na 410. kilometrze lekarz mnie wycofał. Raz też schudłem podczas marszu 10 kilogramów!* – wspomina. – *To są ciemne strony tego sportu. Każde zwycięstwo jednak mobilizowało dalej. To wciąga jak narkotyk!* – podsumowuje z uśmiechem. Każdy sukces i powrót z zawodów nawet u Zbigniewa wiązał się z niedowierzaniem. To jednak dzięki temu działaniu jak narkotyk

Zbigniew, mimo dojrzałego wieku, kontynuuje swoją pasję i nie wyobraża sobie, aby jego dzień wyglądał inaczej, niż jak za czasów najintensywniejszych treningów. W całej karierze pokonał bowiem około 330 tysięcy kilometrów! – *Mimo wszystko jest więcej plusów niż minusów* – przyznaje, kiedy demonstruje mi technikę chodu na odcinku codziennej trasy. – *Bo życie nie przecieka mi przez palce* – mówi z satysfakcją i zdradza mi swoje plany po przejściu na emeryturę – chce jeszcze raz wystartować w Nieoficjalnych Mistrzostwach Świata w Chodzie Długodystansowym i pokonać trasę Paryż – Colmar jak za dawnych lat.

Krzysztof Lewicz

leśniczy, Nadleśnictwo Łopuchówko





Po prostu nałóg taki

Akwarele i pastelowe kredki zamieniłam na aparat fotograficzny. Świat realny i ten nieco bardziej wyobrażony zaczął istnieć najpierw na filmach fotograficznych, później na matrycy w aparacie, w postaci cyfrowych plików, aż w końcu także na papierze. Farb i kredek nie miałam w ręku od wielu lat. Tym bardziej czułam się, jakbym wróciła do przeszłości, słuchając o procesie tworzenia, o percepcji świata i emocjach, jakie towarzyszą artystycznej duszy Krzysztofa podczas malowania.

– Gdy miałem pięć lat, rodzice zaprowadzili mnie na zajęcia plastyczne. Byłem zniechęcony, patrząc, jak dzieci malują kolorowe paski. Woląłem wówczas rysować zwierzęta. Jeszcze nie rozumiałem, że malowanie pasków – zestawianie ze sobą kolorów – to ważna lekcja, jak wzmacniać jeden kolor drugim. Nie chciałem uczęszczać na te zajęcia i szkoda, że rodzice trochę bardziej mnie do tego nie zmusili – opowiada Krzysztof o początkach swojej drogi artystycznej. Maluje od dziecka. Od najmłodszych lat był też zafascynowany lasem. Obecnie te dwa najważniejsze światy łączy w jeden, godząc obowiązki pracy leśniczego z rozwijaniem malarskich wizji.

To właśnie urokliwe momenty w leśnej przestrzeni, ulotne zachwyty nad chwilą o wschodzie słońca czy podczas mgieł były najczęstszym tematem tworzonych przez Krzysztofa dzieł realistycznych. Dlatego też na obrazach olejnych dostrzeżemy samotne sosny wynurzające się z lekkiej mgły, śródleśne polany w niemal baśniowym oświetleniu, żurawie na polach i leśne uroczyska, w których kryją się sylwetki dzikich zwierząt. Jeszcze pięć lat temu Krzysztof brał tydzień urlopu i od samego rana jeździł rowerem po terenach leśnych w najpiękniejsze miejsca. Do bagażnika miał przymocowaną deskę malarską i tak tworzył akwarele, które następnie służyły mu jako wzór do malowania obrazów olejnych. Pewnego roku wybrał się na miesiąc w Bieszczady i tam stworzył akwarele, które służyły mu jako materiały do obrazów olejnych przez wiele kolejnych lat. – *Po prostu nałóg taki!* – żartobliwie tłumaczy mi Krzysztof. – *Wewnętrzna potrzeba* – dodaje z uśmiechem. – *Dzięki pracy w lesie i wrażliwości na przyrodę znam formę, czyli podstawowy temat moich obrazów, bardzo dokładnie. Nie sprawia mi trudności przedstawienie samego tematu, a wówczas poświęcam się szukaniu światłocieni i zestawień kolorystycznych oraz elementów nierzeczywistych, które mogą wzmocnić odbiór obrazu. W ten sposób tworzone dzieło z realistycznego przyjmuje znamiona abstrakcji* – tłumaczy mi Krzysztof swoje postrzeganie świata i pracy artystycznej. To właśnie ta zmiana świata realnego w nierealny, świata dosłownego w enigmatyczny, świata



istniejącego w wyobrażony jest dla niego obecnie najistotniejsza w pracy artystycznej. Krzysztof od dawna marzył, by zająć się malarstwem abstrakcyjnym, ale zawsze wydawało mu się, że nie jest wystarczająco gotowy. Do 2012 roku malował obrazy realistyczne. Po tym czasie, jako kolejny etap artystycznego rozwoju, skupił się na malarstwie abstrakcyjnym. Schemat pracy nad tego typu dziełami wygląda podobnie jak w przypadku tworzenia obrazów realistycznych. Najpierw Krzysztof maluje akwarele, które później służą mu jako wzór do stworzenia obrazów olejnych. Bywa, że akwarela jest dużo ciekawsza niż końcowe dzieło. Czasami też Krzysztof kilkakrotnie



przemalowuje jeden obraz, by uzyskać pożądany efekt. Najbardziej zależy mu, by abstrakcja nie była zbyt dosłowna i niczego nie sugerowała, a pozostawiała wolność odbioru i indywidualnie działała na odbiorcę. W przeciwieństwie do pracy nad obrazami realistycznymi, tworzone jako wzór akwarele powstają w procesie „akcji artystycznej”. Jak wyjaśnia to Krzysztof: – *Abstrakcję zaczynam od akcji artystycznej – taki action painting. Jak mam nastrój, mam wizję, to marzę niby nieświadomie farbami. Powstające akwarele czasami łączę ze sobą, a czasami z jednej akwareli coś wytnę i tak mam wzór do pracy nad obrazem olejnym. Czasami z jednej takiej akwarelki, powstałej w czasie action painting,*

mogę namalować kilka różnych obrazów olejnych, a czasami z kilku akwarelek i ich połączenia powstanie tylko jedna praca olejna. Malarstwo abstrakcyjne dość często spotyka się u odbiorców z niezrozumieniem i krytyką. Krzysztof doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że znając jego wcześniejsze realistyczne obrazy, trudno jest przypadkowemu odbiorcy dostrzec kunszt w obecnych pracach. Wiernie jednak podąża swoją nową artystyczną drogą, gdyż jest świadomy, że *odbiór obrazu zależy od osobowości, psychiki i możliwości percepcji.* Artystycznymi pasjami zaraził także jedną z córek, która skończyła studia na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Bywa, że przy sztaludze pomaga czasami Krzysztołowi kilkuletni wnuk, który urozmaica paluszkami abstrakcyjny świat na płótnie. Swoje twórcze talenty Krzysztof przejawia także w życiu rodzinnym, tworząc liryki okolicznościowe. Oprócz malarstwa i zachwyty nad otaczającą go chwilą Krzysztof posiada jeszcze inne pasje. Od 2005 roku z zaangażowaniem poświęca się także łucznictwu klasycznemu. Początków zamiłowania do łuku, strzały i tarczy upatruje w zaleceniach lekarza, kiedy to zaczął mieć problemy z kręgosłupem. Strzelanie z łuku miało być doskonałą formą rehabilitacji. I tym też się okazało, ale od tego czasu Krzysztof zaczął szlifować umiejętności w Łucznym Klubie Sportowym „Leśnik” w Poznaniu i uczestniczyć w zawodach na szczeblu regionalnym i ogólnopolskim. Obecnie już coraz rzadziej występuje w turniejach, ale łuk i strzały są dla niego doskonałą formą relaksu.

Czasem budzi się we mnie niedźwiedź

Przywitało mnie głośnie szczekanie psów. Miałam cień wątpliwości, czy skracając drogę przez las, dotarłam do leśniczówki w Nowinkach. Wesole czworonogi za furtką upewniły mnie jednak, że wcale nie zabłądziłam. Przy kubku zielonej herbaty, w sąsiedztwie lasu i sadu za oknem, w towarzystwie odzywających się raz po raz gończych polskich i ciekawych książek – tak zaczęła się interesująca rozmowa z Marcinem Szwarem.

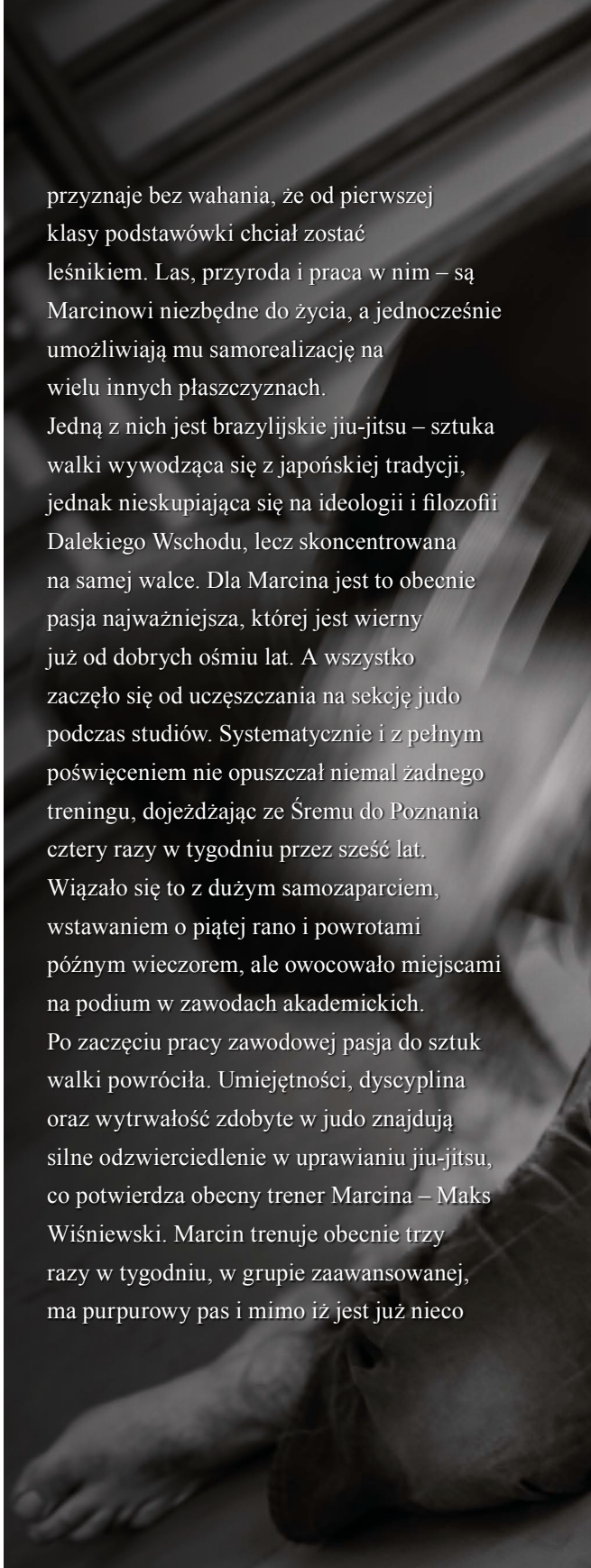
– Zaraz, zaraz... Zanim przejdziemy do głównych tematów naszego spotkania... „Syberia” Palkiewicza? – dostrzegam znajomą pozycję książkową. – Dlaczego „Syberia”? – dopytuję, wiedząc, że od dawna to właśnie ta mroźna kraina jest jednym z celów także moich podróży.



– Zima, śnieg, mróz i skała... To jest to, co mnie od zawsze fascynowało – z iskrą w oku Marcin zaczyna opowieść. – Ważnym etapem mojego życia były góry i jaskinie. W technikum i na początku studiów pasjonowałem się wspinaczką, spędzałem w górach praktycznie cały wolny czas. Nie był problemem brak namiotu, zimno, spanie w zaspach... Najbardziej lubiłem wspinaczkę zimową. Po niej zejście z gór to jak powrót z baśni, z innej rzeczywistości... Ale ten etap mam już za sobą – przyznaje trochę z żalem. – Wiem, że na Syberię raczej już się nie wybiorę ze względu na wykonywany zawód, rodzinę i inne, nowe zainteresowania, które mnie pochłaniają. Mam za to plan na emeryturę: przejść pasmami górskimi południową granicę Polski, od wschodu do zachodu – dodaje z uśmiechem. Młodzieńcze, dość ekstremalne zainteresowania związane ze wspinaczką górską i przekraczaniem granic własnego organizmu przez próbę przetrwania w trudnych warunkach – nie powinny być zaskoczeniem. Od dziecka bowiem uwielbiał samotne wędrówki po lesie. Już pod koniec szkoły podstawowej, gdy tylko opuszczał miejskie blokowisko, wyjeżdżając do babci na wieś, szukał mistycyzmu i tajemniczości. Nocował w lesie, oswajając się z dziką przyrodą. Chociaż nie ma w rodzinie „leśnych korzeni”, to

przyznaje bez wahania, że od pierwszej klasy podstawówki chciał zostać leśnikiem. Las, przyroda i praca w nim – są Marcinowi niezbędne do życia, a jednocześnie umożliwiają mu samorealizację na wielu innych płaszczyznach.

Jedną z nich jest brazylijskie jiu-jitsu – sztuka walki wywodząca się z japońskiej tradycji, jednak nieskupiająca się na ideologii i filozofii Dalekiego Wschodu, lecz skoncentrowana na samej walce. Dla Marcina jest to obecnie pasja najważniejsza, której jest wierny już od dobrych ośmiu lat. A wszystko zaczęło się od uczęszczania na sekcję judo podczas studiów. Systematycznie i z pełnym poświęceniem nie opuszczał niemal żadnego treningu, dojeżdżając ze Śremu do Poznania cztery razy w tygodniu przez sześć lat. Wiązało się to z dużym samozaparciem, wstawaniem o piątej rano i powrotami późnym wieczorem, ale owocowało miejscami na podium w zawodach akademickich. Po zaczęciu pracy zawodowej pasja do sztuk walki powróciła. Umiejętności, dyscyplina oraz wytrwałość zdobyte w judo znajdują silne odzwierciedlenie w uprawianiu jiu-jitsu, co potwierdza obecny trener Marcina – Maks Wiśniewski. Marcin trenuje obecnie trzy razy w tygodniu, w grupie zaawansowanej, ma purpurowy pas i mimo iż jest już nieco





starszy od swoich kolegów z grupy, czuje się dużo młodszy, zdrowszy i spełniony. Leśnik, prawdziwy miłośnik przyrody, doceniający ciszę i spokój, a uprawiający jiu-jitsu – to dość kontrastowe zestawienie, które może zaskakiwać. Jednak to właśnie ten kontrast, oderwanie od codzienności – leśnej przestrzeni, która jest i pracą, i życiem, w jiu-jitsu pociąga Marcina najbardziej.

– W tym sporcie jest realna walka, skupiona na indywidualizmie i kontakcie bezpośrednim. Trzeba wykorzystywać wszystkie umiejętności, jakie się zdobywa systematycznością i ciężką pracą. Zawsze musisz dać z siebie sto procent, bo inaczej przegrasz. Jest pewien ból, wycieńczenie, ale nie ma agresji. I co najważniejsze, możesz ćwiczyć do stu lat! –

te argumenty najbardziej przekonują Marcina do uprawiania jiu-jitsu. Swoją pasją zaraził też dwóch synów, którzy już zdobywają pierwsze sukcesy, trenując judo. Kolejnym zainteresowaniem Marcina jest hodowla szlachetnej rasy psów – gończych polskich. Dziesięć lat temu, po roku poszukiwań, nabył pierwszego szczeniaka – Borusa. Jak sam przyznaje, był to kolejny etap rozwoju pasji związanych z łowiectwem i fascynacji lasem. Nie myślał wówczas o zakładaniu hodowli, ale rasa gończych polskich zaciekała go na tyle, by zacząć układanie Borusa do udziału w konkursach

łowieckich i do polowania. Na wspólnych treningach, biegach po lesie, ćwiczeniu tropienia dzika spędzili razem wiele godzin. To właśnie ulubiony czworonóg nauczył Marcina podejścia do polowania z psem. Razem musieli dbać o wspólne bezpieczeństwo podczas łowów. Poświęcenie czasu i energii owocuje obecnie nie tylko podczas konkursów dla dzikarzy i tropowców, ale przede wszystkim w czasie polowań, którym Marcin poświęca nawet jesienny urlop. Obecnie Borus wraz z suką Jagą i potomkiem Bohunem tworzą „Sforę Borusa” – rozwijającą się hodowlę gończych polskich, w którą Marcin z pasją się angażuje. Nie ukrywa, że wszystko, co robi, stara się realizować z bardzo dużym wysiłkiem i z nastawieniem na maksymalne rezultaty. Jest bardzo świadomy swojej niespokojnej duszy. *– Czasem budzi się we mnie niedźwiedź –* żartobliwie przedstawia swoje aspiracje Marcin. Wie jednak, że może się on przebudzić tylko dzięki odpowiedniej organizacji czasu i niezwykle wyrozumiałej żonie – Kasi. To ona, dzięki akceptacji wielu pasji męża, wsparciu w ich realizacji, godzeniu obowiązków z życiem rodzinnym, pozwala, by Marcin rozwijał skrzydła na każdej płaszczyźnie. Wówczas „niedźwiedź”, który drzemie gdzieś w jego duszy, od czasu do czasu wychodzi ze swojej gawry i z siłą oraz zapalem podejmuje nowe wyzwania.





Wierzę w dobrych ludzi

Podobno osią świata jest drzewo życia – jesion. Łączy on dziewięć równoległych rzeczywistości, w tym Midgard – świat środka, krainę ludzi. Powstała ona na styku dwóch przeciwległych żywiołów: ognia i wody, którymi cały czas jesteśmy doświadczani. Tak właśnie funkcjonuje wszechświat według kosmologii nordyckiej, będącej namiastką wierzeń i wyobrażeń wikingów. Dodając do tego niezwykle barwną mitologię, kult przyrody, waleczność, zamorskie wyprawy i barbarzyńskie bitwy, nie dziwi fakt, że wychowujący się w lesie syn leśniczego, Damian Grzybowski, również zafascynował się tym tajemnym światem zapisanym na kartach historii.

Nie była to jednak pasja od samego dzieciństwa. Zrodziła się całkiem niedawno w niespodziewanych okolicznościach, bo – jak przystało na prawdziwego wikinga – związanych z bójką! – *Wszystko zaczęło się osiem lat temu na jednej z imprez w pewnym poznańskim klubie. Najpierw, trochę na żarty, chciałem się bić z obecnymi w lokalu chłopakami, jednak szybko się z nimi zaprzyjaźniłem. To oni wciągnęli mnie do nowego świata* – ze śmiechem wspomina Damian. Cóż to za nowy świat? Rekonstrukcje historyczne z okresu pierwszych Piastów i wikingów, od VIII do początku XI wieku. W taki oto sposób Damian stał się uczestnikiem licznych imprez historycznych, zaczął władać mieczem, toporem dwuręcznym i długim nożem bojowym typu langsax. Zafascynował się zarówno sposobem walki, jak i codziennym życiem ludów nordyckich, ich światopoglądem i strojem.



Wraz z innymi pasjonatami rekonstrukcji historycznych Damian cyklicznie bierze udział w dorocznym Festiwalu Słowian i Wikingów na wyspie Wolin oraz w Najeździe Barbarzyńców w Ogrodzieńcu. Gdy tylko pozwala na to czas, udziela się także w innych inicjatywach, na przykład na Festiwalu Kultury Słowiańskiej i Cysterskiej w Łądzie czy Zjeździe Wojowników Słowiańskich w Grzybowie. Czasami wyjeżdża także za granicę: na Węgry, Szetlandy w Wielkiej Brytanii czy do Normandii we Francji. Wówczas zabiera ze sobą ogromną torbę, w której ma niezbędne akcesoria, ubrania i biżuterię, by wyglądać jak najbardziej autentycznie. Grupa rekonstrukcyjna, do której należy Damian, przykłada ogromną wagę do tego, by prezentować się jak najbardziej profesjonalnie, a elementy wizerunku były potwierdzone historycznie. Nie ma tu hierarchii, ale każdy, w zależności od zapotrzebowania, odgrywa określoną rolę. W spodniach typu szarawary, lnianej lub wełnianej koszuli, skórzanych butach, skórzanym pasie ze srebrnymi lub brązowymi okuciami, skórzanej przeszywanicy wypchanej owczym runem, kolczudze, kutym hełmie z Rusi, mieczem, tarczą i nożem typu sax staje na polu bitwy. W ręku z reguły trzyma topór dwuręczny, ale gdy jest potrzeba, to sięga też po inną broń i... przenosi się w czasie:

do świata pełnego magii i szlachetnych wartości. – *Myślę, że obecnie zatracił się odpowiedni kanon męskości. Powinniśmy brać przykład z wikingów – ich waleczności, gotowości śmierci. Teraz po prostu brakuje twardych mężczyzn – bez wahania przyznaje Damian. Podkreśla też wyjątkowy wzorzec kobiet z czasów wikingów. Nie tylko były dobrymi żonami i miały wiele praw, ale przede wszystkim potrafiły bronić dobytku podczas nieobecności mężów. Damian, jako syn leśnika, dla którego niemal naturalne i oczywiste było kontynuowanie tej profesji już od dzieciństwa, docenia także postrzeganie przez wikingów świata przyrody. Dla tych skandynawskich wojowników bardzo ważny był szacunek dla ziemi i tego, co daje człowiekowi, oraz podporządkowanie swojego funkcjonowania rytmowi wyznaczanemu przez naturę. Być może święte gaje, życiodajna siła drzew, jesion jako oś wszechświata i magia kryjąca się niemal za każdym zakrętem to tylko barwne mityczne wyobrażenia, ale kształtują postawy wdzięczności i poszanowania do najbliższej przestrzeni, jaką dla leśnika jest las. Po długoletnim obcowaniu ze środowiskiem leśników Damian bez wątpienia stwierdza, że wartości wyznawane przez wikingów znajduje także w otoczeniu swojej pracy: – *W środowisku leśnym**







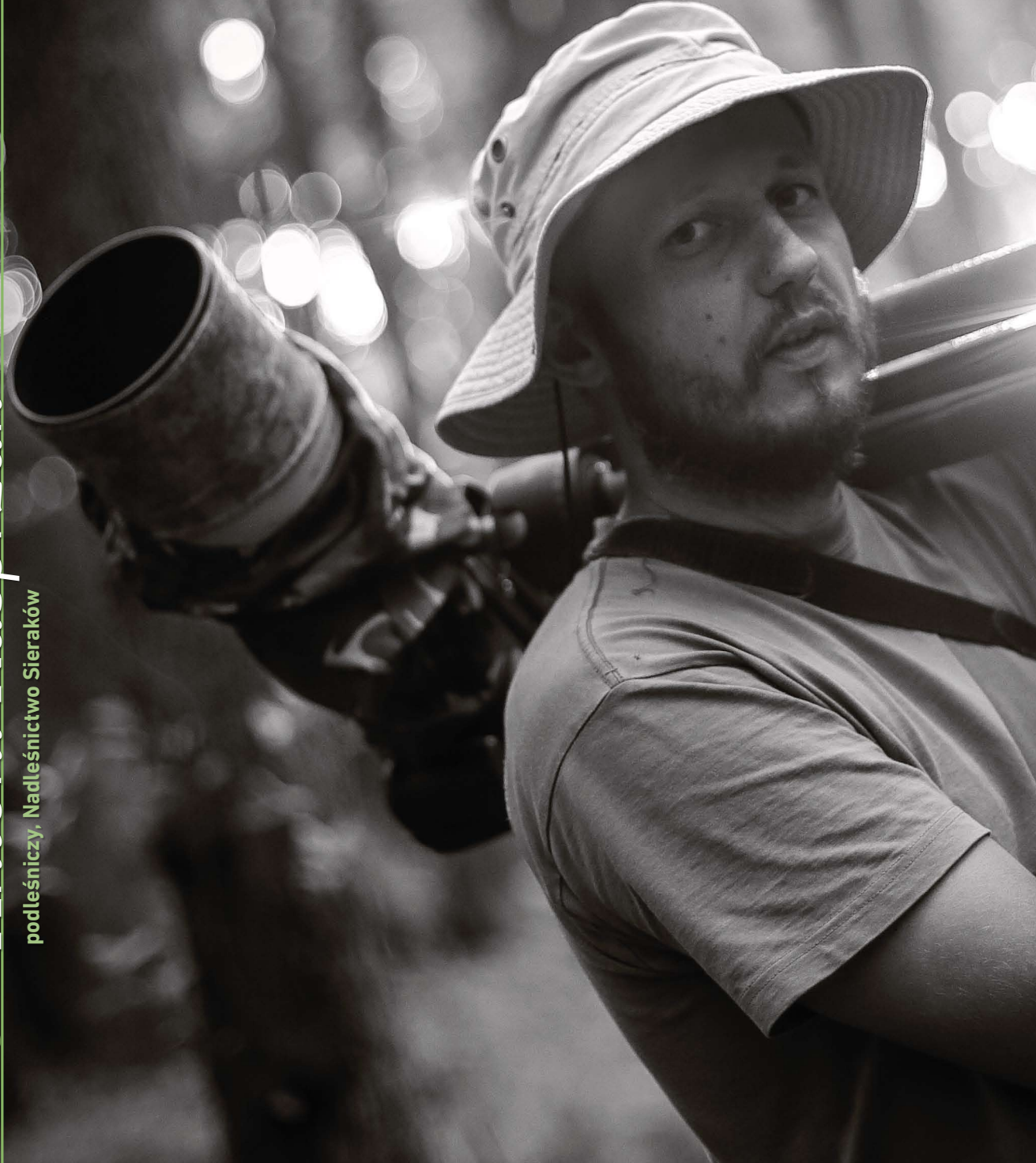
wyraźniej można dostrzec kanon męskości bliski wikingom. Jest tu dbałość o tradycję, waleczność, honor i poszanowanie ojczyzny – podkreśla. Choć można by przypuszczać, że istnieje konflikt między wartościami religijnymi – między politeistycznym kultem wikingów a tradycyjnym katolicyzmem, często kultywowanym przez leśników – to dla Damiana wiara jest sprawą indywidualną. Jedno dla niego jest pewne: – *Wierzę w dobrych ludzi* – mówi. Takimi też stara się otaczać, zarówno w pracy, jak i realizując swoją pasję.

Las i walki wikingów to nie jedyne zainteresowania Damiana. Zdążył mi tylko zdradzić, że fascynuje się tatuażem. Sam ma kilkanaście dzieł sztuki na swojej skórze. Najchętniej tatuuje sobie prace francuskiego artysty z XIX wieku, Gustave’a Dore’a, który w bardzo oryginalny sposób przedstawia sceny i postacie biblijne czy też bohaterów „Boskiej komedii”. Jego skóra jest jak sztaluga dla żony, która z zapalem rozwija nową dziedzinę malarstwa tatuażowego.

Co robi Damian po pracy, między historycznymi bójkami a szukaniem nowych wzorów tatuażu? Wsiada na swoją świecącą yamahę warrior i z warkotem silnika rusza w szeroką drogę albo... słucha black metalu!

30 Antoni Kasprzak

podleśniczy, Nadleśnictwo Sieraków

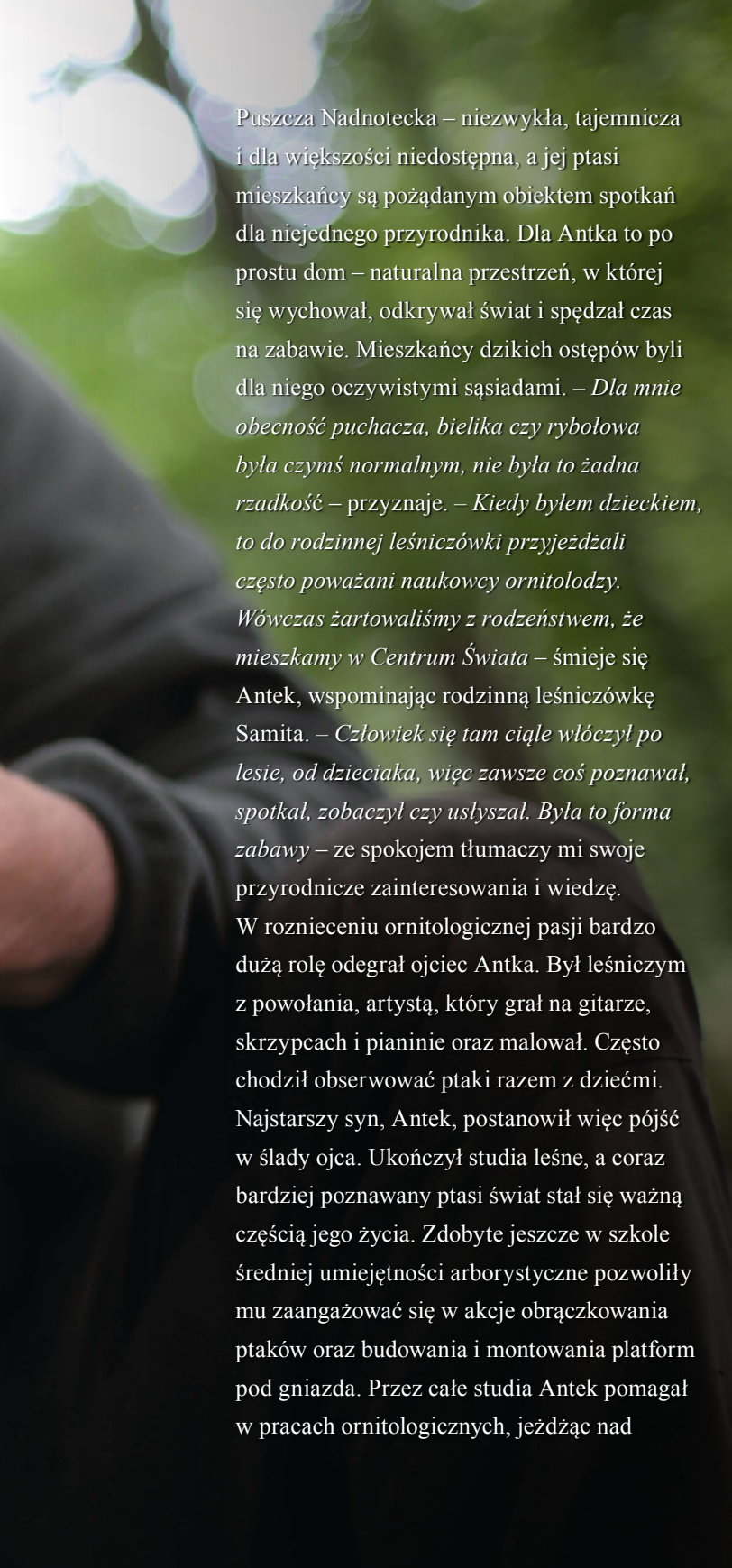




Od dziecka z aparatem za bielikami latałem

– *Tam jest taki stary paśnik* – Antek wskazuje miejsce w zaroślach, kiedy brodzimy w pływaczach źródłiska jeziora Kubek. – *Za mojego dzieciństwa był kryty strzechą. Tam spotkałem go pierwszy raz. Pamiętam, jak wszedłem przez stare rozwalające się drzwi, a on wyleciał znad mojej głowy! Wrażenie było niesamowite... Byłem przecież dzieckiem, gdy pierwszy raz widziałem puchacza!* – słucham i nie dowierzam... Ja słyszałam go tylko raz – nocą i z daleka. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić emocji towarzyszących tak bliskiemu spotkaniu. Antek z sentymentem spogląda na paśnik i wspomina początki swojej pasji, wprowadzając mnie w swój przyrodniczy świat – krainę pełną ptaków z bagien, łąk i lasów, pieczolowicie utrwalaną w fotograficznych kadrach.





Puszcza Nadnotecka – niezwykła, tajemnicza i dla większości niedostępna, a jej ptasi mieszkańcy są pożądanym obiektem spotkań dla niejednego przyrodnika. Dla Antka to po prostu dom – naturalna przestrzeń, w której się wychował, odkrywał świat i spędzał czas na zabawie. Mieszkańcy dzikich ostępów byli dla niego oczywistymi sąsiadami. – *Dla mnie obecność puchacza, bielika czy rybołowa była czymś normalnym, nie była to żadna rzadkość* – przyznaje. – *Kiedy byłem dzieckiem, to do rodzinnej leśniczówki przyjeżdżali często poważani naukowcy ornitolodzy. Wówczas żartowaliśmy z rodzeństwem, że mieszkamy w Centrum Świata* – śmieje się Antek, wspominając rodzinną leśniczówkę Samita. – *Człowiek się tam ciągle włóczył po lesie, od dzieciaka, więc zawsze coś poznawał, spotkał, zobaczył czy usłyszał. Była to forma zabawy* – ze spokojem tłumaczy mi swoje przyrodnicze zainteresowania i wiedzę. W roznieceniu ornitologicznej pasji bardzo dużą rolę odegrał ojciec Antka. Był leśniczym z powołania, artystą, który grał na gitarze, skrzypcach i pianinie oraz malował. Często chodził obserwować ptaki razem z dziećmi. Najstarszy syn, Antek, postanowił więc pójść w ślady ojca. Ukończył studia leśne, a coraz bardziej poznawany ptasi świat stał się ważną częścią jego życia. Zdobyte jeszcze w szkole średniej umiejętności arborystyczne pozwoliły mu zaangażować się w akcje obrączkowania ptaków oraz budowania i montowania platform pod gniazda. Przez całe studia Antek pomagał w pracach ornitologicznych, jeżdżąc nad

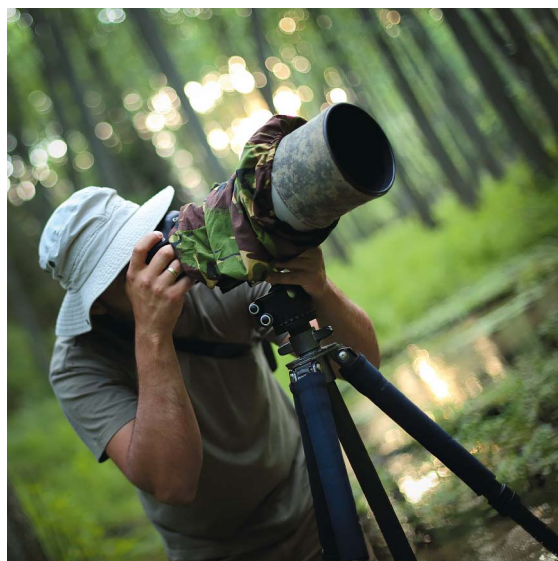
Biebrzę i do wielkopolskich lasów. Wspólnie z innymi ornitologami założyli wówczas kilkadziesiąt platform, między innymi dla orlików grubodziobych, bocianów czarnych, orłów przednich, puchaczy, bielików i rybołowów. – *Rzadko kto ze studentów chciał jeździć tak daleko nad Biebrzę i jeszcze później iść dwie godziny do gniazda. A mnie to pasowało* – przyznaje Antek. Później brał też udział w akcjach obrączkarskich. Zawsze starał się być blisko ptaków – tak jak w dzieciństwie, a teraz mógł jeszcze świadomie przyczynić się do ocalenia najrzadszych gatunków. Zakorzeniona w Puszczy Nadnoteckiej wrażliwość na dziki świat przyrody znalazła także odzwierciedlenie w artystycznym talencie Antka. Kunszt fotografii przyrodniczej, który obecnie prezentuje w swoich pracach, został wypracowany już w latach dziewięćdziesiątych, w czasach szkoły podstawowej. – *W domu zawsze fotografowała mama, ojca nigdy do tego nie ciągnęło. Mama miała na początku smienę i robiła czarno-białe zdjęcia. Miała dar – zawsze pięknie też rysowała portrety ołówkiem. Później ciocia przysłała mamie taki kompaktowy aparat, minoltę, a mnie przypadła ta smiena. Myślę, że zainteresowanie fotografią udzieliło mi się od mamy* – dopatruje się początków fotograficznej pasji Antek. – *Od dziecka z aparatem za bielikami latałem* – śmieje się, widząc moje zafascynowanie fotograficznymi i ornitologicznymi tradycjami. Zanim jednak Antek zaczął z odziedziczoną smieną biegać po leśnych kniejach

w poszukiwaniu drapieżnych ptaków, do fotografowania zainspirowało go coś zupełnie innego. – *Pamiętam jak dziś taką scenkę – zaczyna kolejną barwną opowieść. – Dorwałem jeden z kolorowych filmów przysłanych przez ciocię z Japonii. Wypstrykałem całą rolkę trzydziestu sześciu klatek na fotografowanie... chmur!* – mówi podekscytowany. – *Tak bardzo mnie fascynowały. Byłem wówczas w podstawówce. Później był mały zgrzyt z rodzicami, bo to były spore koszty, ale przeżyłem – wspomina z uśmiechem i sentymentem. Ten moment fotograficznych początków najbardziej utkwiał Antkowi w pamięci.*

Kolejne etapy rozwoju w tej dziedzinie wiążą się ze zmianą sprzętu fotograficznego – przez nieodpornego na mróz zenita, a następnie kilka modeli lustrzanek analogowych firmy Canon. W miarę możliwości finansowych wymieniał też obiektywy, by odpowiadały jego wymaganiom. – *Miałem pobudowane czatownie już pod koniec szkoły podstawowej i ciągle brakowało mi odpowiedniego sprzętu – wspomina. Zgłębiał także tajniki fotografii, wywołując filmy i odbitki w ciemni fotograficznej oraz tworząc slajdy. Wciąż podglądał ptaki i inne dzikie zwierzęta, utrwalając te niezwykle spotkania w wyjątkowych kadrach.*

Przełomowym momentem dla Antka okazał się rok 2006. Wówczas aparat analogowy zamienił na lustrzankę cyfrową: – *Nigdy nie balowałem, nie płem, nie paliłem. Człowiek gdzieś tam w czasie studiów pracował,*

wiec udało mi się odłożyć trochę grosza – przyznaje z zadowoleniem. I to właśnie to „odłożenie trochę grosza” na ulepszenie sprzętu fotograficznego, a przede wszystkim doskonała znajomość ptasiego behawioru zaowocowały niespodziewanymi sukcesami. Antek odważył się, trochę eksperymentalnie i bez większych oczekiwań, wysłać fotografię lecącego w śniegu bielika na prestiżowy konkurs magazynu „National Geographic”. Ten niepozorny gest zaprocentował wygraną „Grand Prix National Geographic Polska” w 2006 roku. Zaskoczenie z wygranej nagrody było ogromne, zarówno dla Antka, jak i jego rodziny i znajomych. – Byłem wówczas w terenie, nad Wisłą, kiedy otrzymałem telefon od organizatorów konkursu z informacją o zakwalifikowaniu się do finału i prośbą o przesłanie pliku fotograficznego w maksymalnej rozdzielczości. Sprawa była fatalna, gdyż nie miałem dostępu do swojego komputera ani Internetu. Prędko zatelefonowałem do brata, żeby odszukał plik i wysłał go. Po tej szybkiej akcji tym większe było moje zaskoczenie na gali wręczenia nagród, kiedy dowiedziałem się o wygranej! – śmieje się Antek, wspominając towarzyszącą tym momentom satysfakcję. Po dwóch latach, w 2008 roku, znowu niespodziewanie, przyszedł czas na kolejny wielki sukces. Sfotografowane w mrozie i śniegu, po pięciogodzinnym oczekiwaniu w wykopanej w ziemi czatowni, walczące bieliki zostały docenione przez komisję największego na świecie konkursu fotografii



przyrodniczej „Wildlife Photographer of the Year” w kategorii „Zachowania zwierząt”. Gala wręczenia nagród odbyła się w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, w towarzystwie światowej śmietanki fotografów przyrody. Antek z radością i sentymentem wspomina te niezwykle chwile, które były zwieńczeniem prawdziwej pasji do dzikiej przyrody i sztuki fotografowania. Wydawać by się mogło, że fotografowanie i spotkania z dzikimi zwierzętami to momenty, które są dane tylko wybrancom. Czasami pewnie rzeczywiście takimi chwilami rządzi przypadek. Wyjątkowe prace Antka, które faktycznie przedstawiają zapierające dech w piersi sceny ze świata przyrody, to jednak coś więcej. Mimo że fotografia jest jego wielkim zamiłowaniem, to jest to przede wszystkim bardzo ciężka praca. Żeby utrwalić

wyjątkowy moment, akcję, pozę bielika, żurawi, kulików czy wilków, bardzo ważna jest cierpliwość i umiejętność dokonywania wyborów. Nieraz Antek musi zmagać się z porannym lenistwem, trudnymi warunkami pogodowymi, które nie zachęcają do wyjścia z ciepłego domu, oraz dzieleniem czasu, którego wciąż jest za mało, między pracą, żoną, czterema córkami i wymagającymi pasjami. Mimo to, dzięki wyrozumiałości rodziny, czeka w czatowni z półotwartymi oczami, drzemie w śpiworze, nasłuchuje, wypatruje i... ciągle stara się być jak najbliżej dzikiego świata natury. Satysfakcja z tak bliskiej obecności, obserwacji i fotografowania jest ogromna. Sam Antek przyznaje jednak, że oprócz tego jest *coś więcej, coś, czego ciągle nie potrafi nazwać, a powoduje drżenie serca i zapierające dech w piersi...*

36 Waldemar Błażniak

starszy specjalista Służby Leśnej ds. ochrony lasu i edukacji leśnej, Nadleśnictwo Antonin

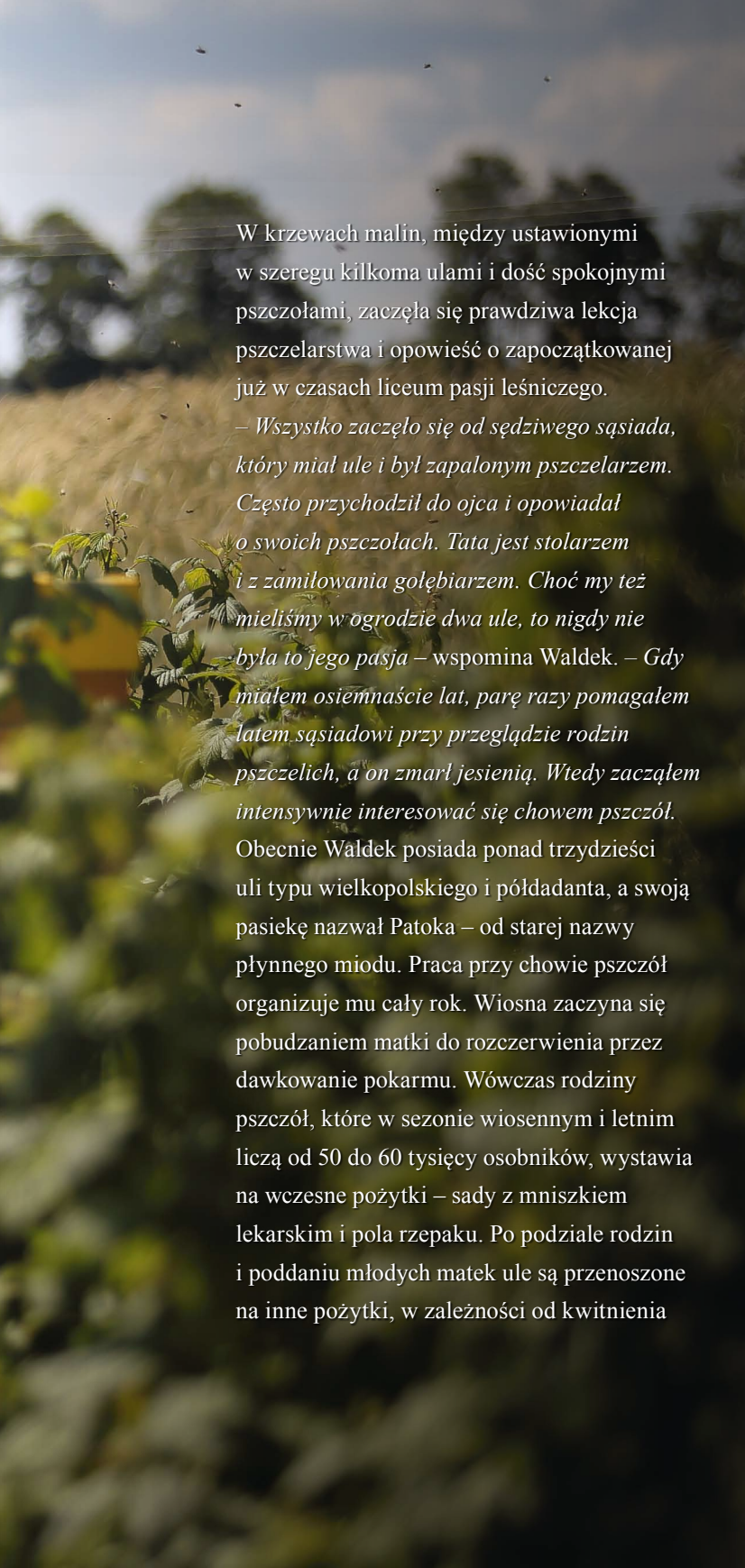


Żeby zarażać pasję, trzeba ją najpierw odkryć w sobie

Przypomnił mi się smak norweskiego miodu – z wrzosów. Jadąc na jedną z pasiek Waldemara Błaźniaka, uważnie rozglądałam się, szukając przyleśnych wrzosowisk. Dyskretnie liczyłam, że dowiem się o pozyskiwaniu tego miodu właśnie od zapalonego pszczelarza. Płaty wrzosów gdzieś tam rosły na pasach przeciwpożarowych, ale po drodze zdecydowanie więcej spotykałam robinii akacjowej, rzepaku i lipy. Jednak miodu malinowego jeszcze nigdy nie miałam okazji smakować – Waldek bowiem wywiózł mnie na... plantację malin! – *Dzięki niej mam pewność, że pszczoły zbierają nektar z kwiatów malin i miód będzie na pewno malinowy* – śmieje się Waldek, widząc moje zaskoczenie z powodu istnienia „malinowego miodu”.







W krzewach malin, między ustawionymi w szeregu kilkoma ulami i dość spokojnymi pszczołami, zaczęła się prawdziwa lekcja pszczelarstwa i opowieść o zapoczątkowanej już w czasach liceum pasji leśniczego.

– *Wszystko zaczęło się od sądziwego sąsiada, który miał ule i był zapalonym pszczelarzem. Często przychodził do ojca i opowiadał o swoich pszczołach. Tata jest stolarzem i z zamilowania gołębiarzem. Choć my też mieliśmy w ogrodzie dwa ule, to nigdy nie była to jego pasja* – wspomina Waldek. – *Gdy miałem osiemnaście lat, parę razy pomagałem latem sąsiadowi przy przeglądzie rodzin pszczelich, a on zmarł jesienią. Wtedy zacząłem intensywnie interesować się chowem pszczół.*

Obecnie Waldek posiada ponad trzydzieści uli typu wielkopolskiego i półdadanta, a swoją pasiekę nazwał Patoka – od starej nazwy płynnego miodu. Praca przy chowie pszczół organizuje mu cały rok. Wiosna zaczyna się pobudzaniem matki do rozczzerwienia przez dawkowanie pokarmu. Wówczas rodziny pszczół, które w sezonie wiosennym i letnim liczą od 50 do 60 tysięcy osobników, wystawia na wczesne pożytki – sady z mniszkiem lekarskim i pola rzepaku. Po podziale rodzin i poddaniu młodych matek ule są przenoszone na inne pożytki, w zależności od kwitnienia

roślin: robinie akacjową, maliny, lipę i nawłóć.

– *Wieńczącym pożytkiem jest wrzos* – zaspakaja moją ciekawość Waldek. – *Ja tego miodu nie pozyskuję, ponieważ w naszym regionie nie ma dużych wrzosowisk, a do tego pracy przy nim jest bardzo dużo i pszczoły wyniszczają się – często giną w pajęczynach i tracą cenną energię przed zimą. Miód trzeba rozluźniać, bo ma galaretowatą konsystencję. Nic więc dziwnego, że tak dużo kosztuje.*

Praca pszczelarza wymaga ciągłej dbałości o pożyteczne owady. Dwa razy w roku, jesienią i wiosną, trzeba zrobić gruntowny przegląd rodzin pszczelich, walczyć z uciążliwymi chorobami (na przykład wywołaną przez roztocza warrozą) i nieustannie poszerzać wiedzę o biologii pszczół. Życie tych stworzeń jest bardzo ciekawe, a Waldka od zawsze interesował każdy najmniejszy szczegół. Jak sam podkreśla, nie zajął się jeszcze hodowlą, czyli tworzeniem nowych krzyżówek genetycznych, ale produkuje matki odpowiednich linii. – *Z zapłodnionych przez trutnia jaj powstają robotnice. Natomiast larwa, która jest karmiona tak zwanym mleczkiem pszczelim, czyli specjalną wydzieliną produkowaną przez pszczoły robotnice, zostanie nową królową matką* – z zainteresowaniem zdradza mi tajniki

życia pszczoł Waldek. – *Z jaj niezapłodnionych powstają trutnie. Lot godowy matki odbywa się 7–8 metrów nad ziemią i dochodzi tam do zaplemnienia, a nie zapłodnienia, gdyż plemniki są przechowywane w zbiorniczkach i to matka decyduje, które jajo będzie zapłodnione.*

Biologia tych owadów jest bardzo interesująca, podobnie jak owoce ich pracy. „Patoka” Waldka jest nie tylko źródłem wielu gatunków miodów, na przykład lipowego, spadziowego, akacjowego, malinowego, nawłociowego czy wielokwiatowego, lecz przynosi także inne pszczele dobrodziejstwa. Z wosku pszczelego produkuje się aromatyczne świece, a pozyskiwany propolis (kit pszczeli) to doskonały środek leczniczy i antybakteryjny. W przyszłości Waldek chce również pozyskiwać pyłek kwiatowy, który ma wiele właściwości zdrowotnych. Od kilku lat leśnik kolekcjonuje także stare typy uli, na przykład warszawskie. To działanie nawiązuje do jego innej pasji – geografii historycznej. Już w podstawówce uczęszczał na kółko geograficzne, na którym nauczyciel z ogromnym zaangażowaniem przekazywał wiedzę o świecie i najbliższej okolicy. Tam też doszukać się można u Waldka początków wciąż rozwijającej się fascynacji regionem: architekturą, ginącymi zawodami, ludźmi, historią, pochodzeniem i nazewnictwem wiosek oraz stawów,

a także innych zapomnianych miejsc Doliny Baryczy. Leśnik od piętnastego roku życia działa w Towarzystwie Miłośników Przygódzic. Emocjonalnie związany z tym niezwykle na skalę europejską miejscem, skrupulatnie gromadzi i odczytuje stare mapy. Zgromadzona wiedza być może zaowocuje w przyszłości opracowaniem dziejów tej krainy w ujęciu geograficznym, historycznym i przyrodniczym. – *Wszystko można wyczytać z map, a mapy pruskie to szczyt perfekcji* – zapewnia. Na tych starych, perfekcyjnych mapach doszukuje się zapomnianych stawów, kanałów i cieków wodnych na terenie Nadleśnictwa Antonin i systematycznie realizuje projekt małej retencji. Wychowany w królestwie ptaków, krainie o wielu walorach przyrodniczych, jakim jest Dolina Baryczy, Waldek odkrył też w sobie pasję do ornitologii. Choć, jak sam przyznaje, obecnie zainteresowanie to przygasło ze względu na zaangażowanie w pszczelarstwo i inne obowiązki, to z pewnym utęsknieniem wspomina czasy największej fascynacji ptakami. A zrodziły się one pod koniec szkoły podstawowej. – *My nawet mieliśmy sny ornitologiczne z konkretnymi gatunkami, które widzieliśmy lub chcieliśmy zobaczyć* – śmieje się leśnik. Pasją tą zaraził go starszy o pięć lat kolega, Mateusz Matysiak. Na początku lat dziewięćdziesiątych Waldek prawie każdy dzień spędzał w terenie, przemierzając połacie



łąk i brzegi stawów. W tych czasach, za sprawą Mikołaja Litwina, ornitologia w województwie kaliskim rozkwitała, a na Stawach Przygodzickich Waldek odnotował wyjątkowe obserwacje, na przykład ibisa czczonego, cudokaczki czy pelikana kędzierzawego. W latach 1993–1995 należał także do Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. W 1994 roku, wraz z innymi ornitologami, założył Grupę Przyrodniczą Doliny Górnej Baryczy „Zausznik”. Własnym sumptem wydawali lokalne czasopismo ornitologiczne, a obserwacje z tych terenów przedstawiali w artykułach prezentowanych później w „Ptakach Polskich”. Obecnie

wyjścia w teren w celu obserwacji ptaków, niestety rzadkie, owocują dodatkowym zainteresowaniem – fotografią przyrodniczą, w świat której Waldek powoli wkracza. Ani leśnictwo, ani zainteresowania przyrodnicze i pszczelarskie nie są w przypadku Waldka odziedziczone. Odkrył je dzięki spotkaniom z innymi ludźmi: pszczelarzem sąsiadem, zapalonym nauczycielem geografii, kolegą ornitologiem i kształcącym się wówczas leśnikiem. Teraz Waldek sam ma wiele pasji, którymi może się dzielić i podczas pracy, i w życiu rodzinnym. Jak sam przyznaje, *żeby zarażać pasją, trzeba ją najpierw odkryć w sobie.*

Puszcza mnie wychowała, wykształciła, tu pracuję i teraz się odpłacam

(...) kocham zwierzęta i lubię je podpatrywać. Co do samego polowania zaś, to twierdzę, że dostarcza ono człowiekowi niezwykłych, nigdzie nie spotykanych przeżyć i emocji. Poluję, bo czuję taką potrzebę, rozumiejąc, czym jest polowanie. Staram się wykonywać je rozważnie i odpowiedzialnie. Uważam, że potrzeba dużej wrażliwości, aby zarówno w pierwszym, jak i drugim przypadku umieć dostrzec piękno – to fragment czekającej na wydanie książki autorstwa mojego rozmówcy, który doskonale pokazuje idee przyświecające jego największym pasjom, nierozzerwalnie związanym również z pracą. Choć sama bardzo często dostrzegam i odczuwam piękno związane jedynie z podpatrywaniem przyrody, to wrażliwość Tomasza dotycząca polowań otwiera mi nowe, świeże spojrzenie w tym aspekcie.

Puszcza Zielonka – to ta leśna kraina stanowi centrum egzystencji Tomasza. Tu pracuje, a także odkrywa w sobie pasję do łowiectwa, pisarstwa i lokalnego patriotyzmu. – *Puszcza mnie wychowała, wykształciła, tu pracuję i teraz się odpłacam w jakiś sposób, pisząc książki na temat jej dobrodziejstw* – tłumaczy mi Tomasz. Od dziecka marzył o pracy w lesie, gdyż od najmłodszych już lat pomagał przy pielęgnacji upraw leśnych. Trwając przy swoim postanowieniu, skończył studia leśne. W 2006 roku, nie uprzedzając nikogo, napisał doktorat, a obecnie sprawuje funkcję nadleśniczego w swojej ukochanej puszczy. Choć nie ma korzeni leśnych, to właśnie las wydawał mu się miejscem, gdzie jest *swoboda, przestrzeń, gdzie nie liczy się czasu, gdzie każdy żyje według słońca* – to te elementy w wyborze dalszej drogi życiowej były dla Tomasza bardzo ważne. – *Jestem człowiekiem spełnionym* – przyznaje bez wahania. – *Robię i robię to, co lubię, co kocham i co daje mi pełną satysfakcję.*





Spełnienie to nie dotyczy jedynie życia zawodowego, lecz rozwija się na płaszczyźnie ogromnej pasji, jaką jest łowiectwo. Fascynacja tym zajęciem także zrodziła się w czasach wczesnej młodości, bo już w szkole podstawowej Tomasz przeznaczał oszczędności na kupowanie książek i akcesoriów łowieckich. – *Pamiętam, jak chodziłem jeszcze w granatowym mundurku w piątej klasie szkoły podstawowej i kupiłem sobie torbę myśliwską, której do dziś używam* – wspomina z uśmiechem. – *Zawsze mnie też fascynowało, kiedy jadąc pociągami do szkoły z Owińsk, widziałem jelenie, daniele, sarny i dziki ładowane do wagonów. Wówczas nie śmiałem nawet myśleć, że sam będę polował i nawet w tym celu jeździł po świecie* – przyznaje. Nieśmiałe marzenie o łowach na krańcach świata stało się jednak rzeczywistością! Norwegia, Finlandia, Szwecja, Estonia, Syberia, Kanada, Namibia... To tylko niektóre niezwykle zakątki świata, w których Tomasz przeżywa swoje przygody i z których przywozi myśliwskie trofea. Ściany domu zdobią starannie wyeksponowane zdobycze z Polski oraz poroża gatunków z innych krajów, rogi i skóry. Dostrzec można trofea między innymi jelenia białoogoniastego, guźca i niedźwiedzia czarnego – baribala, antylop: elanda, oryksa oraz kudu, bawolca krowiego, sessebi. Od wielu lat Tomasz organizuje także liczne wystawy łowieckie, prezentując na nich nie tylko myśliwskie łupy, lecz także odpowiedni sposób ich eksponowania. A jaka z tych zdobyczy jest dla Tomasza najważniejsza?

Sarna rogacz z cechami „dzikiego bujania tkanki” – osobnik ze zdeformowanym porożem o bardzo dużej masie. Z różnych powodów powstało kilka stożków wzrostu, dzięki czemu poroże rośnie bardzo nieregularnie i tworzy nieprzewidywalne formy. Tomasz posiada w swej kolekcji trofea uszkodzone podczas wzrostu przez muchówki. Przebieg tej „choroby” i spowodowane nią deformacje zawsze są inne. Tematyka uszkodzeń poroży przez muchówki to prawdziwy konik leśnika. Wydał na ten temat kilka artykułów naukowych w Polsce i za granicą. Zbiór trofeów jest naprawdę imponujący, a jeszcze bardziej fascynujące są doświadczenia związane z przeżywaniem tych niecodziennych polowań. Za namową przyjaciół Tomasz zaczął więc spisywać swoje przygody, fascynacje i przemyślenia. Pisarstwo okazało się w ten sposób kolejną pasją, przy której trwa. – *Opisuję tam siebie jako biednego studenta jeżdżącego z Owińsk. Wówczas w ogóle by mi do głowy nie przyszło, że będę gdzieś po świecie jeździł, polował na safari. Piszę też o tym, jak los sprawił, że... jeżdżę!* – opowiada Tomasz o swojej pierwszej książce „Moje safari”. Zmotywowany tą publikacją, pisał więc dalej traktując pisarstwo, i jako odplacenie się puszczy, i jako zwieńczenie aktywności zawodowej. – *Z perspektywy człowieka, który poluje od czterdziestu lat, patrzy na łowiectwo świadomie, zna obowiązujące przepisy i wie, jakie są trudności związane z ich przestrzeganiem, napisałem poradnik „Polujmy bezpiecznie”. Jestem też*



pedantem jeśli chodzi o szanowania trofeów, dlatego wydałem mały traktat na ten temat. Publikacja „Szanujmy trofea” to takie małe abc o preparacji, eksponowaniu trofeów, ale przede wszystkim o aspekcie filozoficznym samego ich zbierania. Opisałem też ideę polowań wigilijnych czy symbolikę jelenia w kulturze polskiej – opowiada Tomasz o swoich publikacjach.

To tylko nieliczne, o których wspomina. Jest bowiem autorem siedemdziesięciu dwóch artykułów, pięciu książek i współautorem kilkunastu. Co ciekawe, dotyczą one nie tylko łowiectwa i leśnictwa, lecz także lokalnego patriotyzmu oraz wątków historycznych, a niekiedy tajemniczych zagadek związanych między innymi z zakonem cysterek w Owińskach. „Śladami wiary po Puszczy

Zielonka” czy „Lokalne nazwy terenowe funkcjonujące w Puszczy Zielonka” – te tytuły pokazują niektóre zainteresowania, jakim poświęca się Tomasz, kiedy czasami ma przesyt polowania. Na dysku swojego komputera ma natomiast grubo ponad dwieście stron tekstu książki, która jeszcze nie dotarła do rąk czytelników. – *Nie chcę jej jeszcze drukować – zdradza. – Jak dożyję i pójdę na emeryturę, to wydam – tak w podziękowaniu, jako zwieńczenie pracy zawodowej. Będzie to jakby druga część mojej pierwszej publikacji, pod tytułem „Nie samym polowaniem...”* – zostawia mnie z niedosytem ciekawości spełniony i szczęśliwy Tomasz. – *Myślę, że trzeba mieć w życiu trochę szczęścia – podsumowuje. – Ja chyba to szczęście mam. Należy mu jedynie trochę pomagać.*

Latanie lataniem, ale najważniejsi są ludzie

Wybierając się na spotkanie z Beatą, próbowałam sobie wyobrazić, jaką wolność mogą czuć ptaki krążące w kominach powietrznych. Leciłam szybowcem tylko raz, bardzo krótko. I choć była to tylko iluzja ptasiego lotu, to uczucie swobody i niezależności towarzyszące szukaniu odpowiednich chmur i zataczaniu coraz wyższych kręgów pod obłokami na długo zostało w mojej pamięci i zostawiło pewien niedosyt.

Beata od najmłodszych lat marzyła o pokonywaniu przestworzy. Początkowo było to romantyczne pragnienie małej dziewczynki o oderwaniu się od ziemi i zbliżeniu do obłoków – powietrznego świata, który na co dzień jest niedostępny, kuszący i tajemniczy. Dzięki dużemu samozaparciu to wyobrażenie zaowocowało uzyskaniem licencji pilota już w czasie studiów leśnych w Poznaniu. Samo ukończenie kursu było nie lada wyzwaniem, przede wszystkim ze względu na wysoki koszt oraz konieczność znalezienia odpowiedniego miejsca do uzyskania uprawnień. Takim okazał się aeroklub w Grudziądzu, blisko domu rodzinnego Beaty. W 2007 roku, godząc studia i pracę, zaczęła trzytygodniowy kurs podstawowy. Teoretyczne zapoznanie z powietrznym środkiem lokomocji, ćwiczenie lotu po prostej pod okiem instruktora, starty, lądowania, wchodzenie w zakręty oraz wychodzenie z nich, loty doskonalące – to tylko niektóre z intensywnych zajęć, które zakończyły się zdobyciem licencji na... lot po kręgu nad lotniskiem!





Beata Nadołna



Beata jednak dzielnie trwała w rozwijaniu swojej nietuzinkowej pasji i systematycznie zdobywała kolejne uprawnienia. Dopiero po przejściu szkolenia z celności lądowania, nauki termiki lotu, samodzielnym spędzeniu w powietrzu pięciu godzin oraz uzyskaniu minimalnego przewyższenia 1600 metrów nad poziomem terenu mogła poczuć całkowitą swobodę. Zmierzyła się wówczas z pierwszym samodzielnym lotem poza zasięgiem lotniska. Chociaż lot ten nie był obowiązkowy, to Beata postanowiła spróbować. Na swoją pierwszą szybowcową trasę wybrała odcinek z Grudziądza do Torunia i z powrotem. Jak sama przyznaje, było to duże wyzwanie: – *Strach przed lądowaniem poza lotniskiem był ogromny! Czulałam też pewną presję, by nie zawieść instruktora oraz znajomych po fachu, którzy we mnie wierzą* – opowiada. Towarzyszył jej pewien lęk, ale upragniona wolność i widoki świata w dole były niezastąpione. – *Kiedy lecisz na wysokości 2000 metrów, to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Miałam tylko mapę i nagle zaczęłam się zastanawiać, co to za rzeczka tak zakręca. A spójrz sobie, jak na mapie wygląda Wisła na odcinku między Toruniem a Bydgoszczą...* To dopiero była Wisła! – z podekscytowaniem wspomina Beata. Kuszący i pozornie niedostępny świat



powietrza nagle sprawił, że to ten świat w dole, w którym na co dzień egzystujemy, zaczął przybierać zupełnie nowe, zaskakujące oblicze. – *Przygotowanie całego sprzętu do lotu to koszmar!* – bez wahania stwierdza Beata. – *Potrzebna jest pomoc innych, bo bez niej niczego nie zdziałasz. Ale jak już lecisz, to jest niesamowicie...* Nieraz z kabiny szybowca Beata wypatruje odpowiednich chmur i obserwuje spokojnie krążące bociany czy żurawie, by podobnie jak one, wykorzystując prąd wznoszący (tak zwany komin), pozwolić ponieść się wyżej i wyżej.

Raz nawet szybowiała z bielikiem! Było to dla niej wyjątkowe przeżycie. Ptak patrzył z zainteresowaniem, po czym nastawił na nią szpony. Na szczęście nie doszło do kolizji i Beacie udało się uciec. Zainwestowanie czasu, energii i sporych oszczędności zgromadzonych podczas dorywczej pracy w czasie studiów okazało się dla Beaty decyzją bardzo udaną. Od tej pory pasja szybowania coraz bardziej ją pochłaniała, coraz częściej też odwiedzała aeroklub w Grudziądzu. Nie tylko z powodu zamiłowania do podniebnych podróży,



lecz także towarzystwa oryginalnych i przyjaźnie nastawionych osób. – *Latanie lataniem, ale najważniejsi są ludzie* – puentuje Beata.

Góry i wędrówki kamienistymi szlakami to kolejne zajęcie, które zajmuje znaczące miejsce w życiu Beaty. Zarówno wybór studiów leśnych, jak i czerpanie przyjemności z górskich wędrówek mają swoje korzenie w fascynacji dziką przyrodą. To właśnie ona, w połączeniu z chęcią odkrywania nowych, nie tylko podniebnych światów i szukania oryginalnych możliwości

przeżycia przygody, wiąże się z kolejną pasją Beaty – spontanicznymi, niezaplanowanymi podróżami w najdalsze zakątki świata. Wraz z przyjaciółmi przejechali motocyklami praktycznie całą Skandynawię, odwiedzili też Chorwację i Teneryfę. Beata marzy, by zdobyć Koronę Europy i podbić daleką Północ. Mimo wielu zainteresowań zamierza kontynuować dotychczasowe pasje, a nawet zacząć nowe przygody. Nieśmiało zapowiada chęć zdobycia licencji pilota na samolot oraz zaangażowanie w myślistwo.

Codziennie zdarza się coś nowego

Chyba najbardziej lubię nalewki z kaliny, żurawiny i owoców dzikiej róży. Sporządzanie aromatycznych trunków według staropolskich receptur fascynuje mnie od kilku lat. Jadąc do Darka, przekraczałam most na Warcie w Pyzdrach z uczuciem wielkiego zainteresowania. Zastanawiałam się, jakie też nowe przepisy na nalewki czekają na mnie w leśniczówce. Wrażenie po wejściu do pokoju było zdumiewające!









Butle, butelki, buteleczki o rozmaitych kształtach i wielkości; krystaliczne płyny w różnych odcieniach czerwieni, żółci i pomarańczu; niektóre zupełnie ciemne, wręcz czarne... Darek od wielu lat zajmuje się domowym wyrobem nalewek i wciąż eksperymentuje z łączeniem owoców, ziół i przypraw. – *Mamy chyba sześćdziesiąt różnych rodzajów, a najstarsza uchowała się z 2009 roku* – śmieje się i wyjaśnia, widząc moje zaskoczenie. Z dzikiego bzu, jarzębiny, dereniówka, pieprzówka, gruszkówka, pigwówka... – to tylko niektóre trunki, które w pierwszej chwili zauważam. – *Jest też calvados z jabłek, kurpiowska żenicha z owoców dzikiej róży, rumianku, mięty i miodu, żmudzka nalewka z rutą, śliwką i cytryną...* – opowiada Dariusz. Pracy przy wyrobie tak dużej ilości nalewek różnego rodzaju jest naprawdę sporo. Bardzo ważny jest odpowiedni dobór składników i czas oczekiwania. Dariusz wraz ze swoją partnerką Moniką eksperymentują i rzadko posiłkują się książkowymi przepisami. Łączą owoce dziko rosnących roślin z lasów i pól, czasem odwiedzają też okoliczne sady i korzystając z wieloletniego doświadczenia, próbują połączyć te smaki z różnymi przyprawami. Niewątpliwie jest to zajęcie dla cierpliwych, gdyż alkohol musi leżakować. Satysfakcja z odpowiedniego smaku i aromatu jest ogromna, szczególnie podczas spotkań ze znajomymi i rodziną. Inspiracją do tworzenia tego typu trunków jest najbliższe otoczenie Darka, jakim jest właśnie las w Puszczy Pyzdrowskiej. Choć nie miał

w rodzinie przodków leśników, to zdecydował się na technikum leśne. Bez ogródek jednak przyznaje: – *Był to wybór zupełnie z przypadku. Po prostu chciałem mieszkać w internacie i być daleko od domu. Wydawało mi się też, że jest to oryginalny zawód – i taki jest! Ciągłe mi się ta praca podoba. Dzięki codziennemu kontaktowi z przyrodą, obcowaniu z drzewami, ściółką i dzikimi zwierzętami oraz podziwianiu otwartych nadwarciańskich przestrzeni tuż obok lasu praca ta nie jest powtarzalna. Fascynuje mnie, że w lesie jest tak dużo różnych tematów, że nie można go do końca życia ogarnąć. Ciągłe zdarza się coś nowego – tłumaczy mi Dariusz. Fascynacje te przekłada na swoje pasje kulinarne właśnie podczas rozwijania sztuki produkcji nalewek, a także... wyrobu serów! Od dwóch lat, wraz Moniką, zgłębiają tajniki domowej produkcji serów według korycińskiej receptury. – *Najważniejsze są dobre mleko, bakterie i podpuszczka* – zdradza mi Darek, kiedy ze zdumieniem odwiedzam kuchnię i nie dowierzam liczbie dojrzewających właśnie przysmaków. Są sery o różnych kształtach i wielkości, białe, wędzone lub w sosie, długo i krótko dojrzewające, twarde lub rozpadające się... A to wszystko dzięki dobrodziejstwom z lasu, pól, łąk i ogrodu. Niektóre sery są z dodatkiem płatków bławatka, inne z liśćmi*

szałwii, czosnku niedźwiedziego czy bazylii. Dostrzec można też czarnuszkę, suszone pomidory, pieprz czy paprykę. Poza różnorodnym wyglądem, każdy z nich niepowtarzalnie pachnie i smakuje wyśmienicie. Smaki inspirowane lasem i najbliższym otoczeniem, tworzone z zamiłowaniem przez Dariusza, doskonale uzupełniają inne jego pasje. Już w piętnastym roku życia zaczął grać w brydża. Ta niepozorna fascynacja przerodziła się w zaangażowaną grę. Od dziesięciu lat Dariusz zajmuje się brydżem sportowym i bierze udział w zawodach na szczeblu regionalnym oraz ogólnopolskim. Dwukrotnie został mistrzem Polski leśników, a w jego gabinecie widnieją spory zbiór pucharów i medali z innych turniejów. Treningom, które rozgrywa w domu z przyjaciółmi, często towarzyszy degustacja wyśmienitych nalewek i serów. Podobnie jak spotkaniom przy ognisku z gitarą oraz śpiewem. Dariusz jest bowiem duszą towarzystwa i muzycznym talentem. Grając na gitarze i śpiewając, najczęściej utwory Stachury oraz Nohavicy, dzieli się wewnętrzną radością. Jak twierdzi: – *Uśmiech jest zaraźliwy. Często ludzie we wsi, podczas pracy w terenie, uśmiechają się do mnie bezinteresownie, więc ja też się tym uśmiechem dzielę.*



58 Antoni Filipowicz

zastępca nadleśniczego, Nadleśnictwo Przedborów



Zawsze podziwiałem jego umiejętność modlitwy

Pudła, pudełka, pudeleczka; całe rzędy segregatorów, biurka zavalone czasopismami, wydrukami. Wszystko pieczołowicie opisane. To kolekcjonerskie królestwo Antoniego, które odejmuje mi mowę od samego wejścia do pokoju. Moją największą uwagę przyciąga jednak egzotyczny szal zawieszony na ścianie. Być może z Afryki lub Ameryki Południowej? – zastanawiam się. Antoni jednak bardzo szybko rozwiewa moje wątpliwości: – *To z Ghany. Otrzymałem w prezencie od jednego z ministrów – roznica moja ciekawość. – Poprosiłem kiedyś listownie o znaczki z wizerunkiem papieża z tego kraju. Kiedy je otrzymałem, zapytałem o sposób zapłaty. Uzyskałem odpowiedź, że osoba będąca wcześniej w posiadaniu znaczków chce skórzane buty w podobnej cenie. Dostałem wiadomość o wymiarach i wysłałem do Ghany dwie pary eleganckich butów – śmieje się Antoni. – Był problem z przesyłką, posądzano mnie o nielegalny eksport, ale się udało. A w podziękowaniu otrzymałem jeszcze ten szal.*

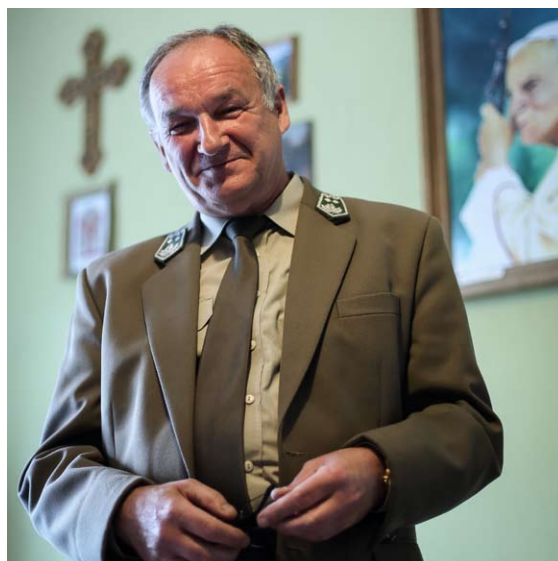
Opowieść o niecodziennym sposobie zdobycia znaczków z wizerunkiem Jana Pawła II doskonale odzwierciedla fascynację Antoniego papieżem oraz jego pasję kolekcjonerską. Wszystko zaczęło się bowiem od wizyty Ojca Świętego w Tarnowie 10 czerwca 1987 roku, na której Antoni był obecny. Już od dzieciństwa kolekcjonował znaczki, a po spotkaniu z Janem Pawłem II dowiedział się, że ma zostać wydany klaser ze znaczkami papieskimi z całego świata. Usilnie więc zaczął go poszukiwać. Okazało się jednak, że wydano nie klaser, lecz album książkowy o tej tematyce. W sklepie filatelistycznym w Tarnowie Antoni otrzymał jednak pierwsze serie z papieskimi znaczkami i był to początek sprofilowanego kolekcjonerstwa.

Zbiór znaczków z wizerunkiem papieża cały czas się rozrastał. Antoni gromadził znaczki wszystkich trzech typów: perforowane (z ząbkami), cięte (bez ząbkowania) oraz wydawane ministerialnie, czyli liczone w sztukach. Bogatą kolekcję zaczął eksponować na wystawach, ale szybko zaobserwował, że same znaczki są dość monotonne w oglądaniu. Zaczął więc zbierać karty telefoniczne z całego świata z wizerunkiem Ojca Świętego, karty wstępu na spotkanie z nim, książki, medale, karty i stemple pocztowe, plakaty, monety, a także relikwiarze.

Wszystko starannie kataloguje i opisuje. Gromadzenie tych przedmiotów wymaga nie lada wysiłku, a szczególnie utrudnione było w latach dziewięćdziesiątych. – *Najpierw śledziłem wiadomości o planowanych wizytach Jana Pawła II. Następnie pisałem list do Ministerstwa Poczty i Telekomunikacji danego kraju, czy planują coś wydać* – opowiada Antoni o początkowych trudach. – *Czasami korespondencja trwała miesiącami!* – dodaje. Zbiory wzbogacał także dzięki kontaktom z innymi kolekcjonerami na całym świecie oraz odwiedzając giełdy w Polsce i za granicą. – *Znam chyba wszystkich handlarzy świata!* – przyznaje z uśmiechem. – *Dzięki papieżowi poznałem wiele państw i pasjonatów filatelistyki.*

W kolekcji Antoniego znajdziemy na przykład imponujące zestawy dwudziestu czterech kart telefonicznych z Izraela, które tworzą puzzle. Posiada też kolekcję kopert z tak zwanych poczt okolicznościowych. Bardzo ciekawe są

znaczki z Anglii. Jest to jedyne państwo, które oficjalnie nie wydało znaczków z wizerunkiem Jana Pawła II, gdyż panuje tam zasada, że (z wyjątkiem królowej) mogą one przedstawiać jedynie zmarłe osoby. Te okolicznościowe znaczki nawiązujące do wizyty papieża przedstawiają więc także władczynię Wielkiej Brytanii, ale mają perforowany w różnych miejscach napis „JP II”. – *Najdroższe są oczywiście eksponaty najrzadsze lub mające jakąś szczególną historię* – zaznacza Antoni. – *Są to znaczki lub karty telefoniczne, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Ciekawostką są na przykład znaczki oraz stemple z Filipin z 1980 roku. Papież miał wtedy odwiedzić ten kraj, ale się rozchorował i nie przyleciał. Znaczki powinny więc zostać zniszczone, ale kilka z tej niepoprawnej serii przetrwało i ja jestem ich szczęśliwym posiadaczem* – opowiada z satysfakcją. Obecnie bardzo dużą wagę przykładą do kolekcjonowania kart i biletów wstępu ze wszystkich wizyt papieża w Polsce, ze wszystkich miast, sektorów i grup społecznych. Prowadzi rzetelny spis gromadzonych „pamiątek papierowych” z tych spotkań. Pasja kolekcjonowania papaliów oraz kontakty z innymi zafascynowanymi tym tematem ludźmi zaowocowały utworzeniem Stowarzyszenia Kolekcjonerów Pontyfikatu Jana Pawła II, które po śmierci papieża zmieniło nazwę na stowarzyszenie Pamięć Jana Pawła II. – *Kolekcjonujemy wszystko związane z papieżem oraz organizujemy różne wydarzenia* – tłumaczy Antoni. Zastanawiające są jednak



tak duże zaangażowanie i motywacja związane z kolekcjonowaniem pamiątek dotyczących Ojca Świętego. Dlaczego Antoni jest tym tak zafascynowany? – *Bo o żadnym człowieku nie wydano tylu znaczków i kart telefonicznych!* – odpowiada ze śmiechem na nurtujące mnie pytanie. – *A tak szczerze, to dla mnie jest on człowiekiem nie tylko świętym, ale przede wszystkim o niezwykle osobowości, wiedzy i pracowitości. Zawsze podziwiałem jego umiejętność modlitwy – jak potrafił się skupić i modlić za cały świat* – wyjaśnia. Szacunek i podziw dla papieża przejawia się także w działaniach na polu zawodowym. Antoni bowiem aktywnie angażuje się w rozprzestrzenianie sadzonek, tak zwanych dębów papieskich, które zostały wyhodowane z żołądzi poświęconych w Watykanie przez Jana Pawła II. Jako leśnik z prawdziwym zamiłowaniem do przyrody otwarcie mówi: – *Nie można żyć tylko pracą – trzeba mieć jeszcze inne zainteresowania.* Pasja kolekcjonowania papaliów jest tego wyraźnym przykładem.

Antoni ma jednak jeszcze inne fascynacje. Dużą rolę w jego życiu odgrywa turystyka górską. Skrupulatnie gromadzi mapy, przewodniki i systematycznie odwiedza Tatry, Beskidy czy Karkonosze. Jest zdobywcą Korony Gór Polski – dwudziestu ośmiu szczytów wszystkich pasm górskich w Polsce. Od 1962 roku należy do Polskiego Towarzystwa Turystyki Krajoznawczej. – *Górskie wędrówki to moja odskocznia w świat przyrody* – opowiada Antoni, kiedy jako osoba od dawna zafascynowana trekkingiem po górskich pasmach z całego świata przechodzę do znajomego mi tematu. – *Robię to też dla zdrowia i z chęci spotkania ciekawych ludzi na szlaku lub w schronisku* – dodaje. – *Zawsze przyciągały mnie niezwykle widoki: i w dolinie, i ze szczytu. Przestrzeń jest niesamowita – wówczas widzi się swoją małość i to, że jest się tylko niewielką częścią ogromu wszechświata.*

62 Stefan Matysiak

emerytowany pracownik Nadleśnictwa Piaski





Pamiętam ten dzień...

– Oto wykonana własnoręcznie dyżurna zabawka dla moich wnuczków! – Stefan prezentuje mi biały model samolotu, kiedy wchodzę do pokoju. – Wewnątrz ma silnik, by przy zabawie kręciło się śmigło – opowiada dalej, a ja oprócz pokazywanego modelu zauważam jeszcze kilka innych. Dostrzegam też ściany zdobione rzeźbami, kolekcją poroży, a na półkach – liczne rzędy książek. – Ja mam tyle zainteresowań, że ciągle braknie mi czasu – z uśmiechem komentuje Stefan, widząc moje zdziwienie, i zaczyna barwne opowieści z osiemdziesięciu czterech przeżytych lat.

Obecnie Stefan jest członkiem między innymi Polskiego Towarzystwa Historycznego, Klubu Regionalistów, Polskiego Towarzystwa Turystyki Krajoznawczej oraz Koła Seniorów Leśników i wciąż wykazuje aktywność na wszystkich płaszczyznach. – *Moim dziecięcym i młodzieńczym marzeniem było lotnictwo – nawiązuje do pokazywanych wcześniej samolotów. W gimnazjum był instruktorem modelarni lotniczej w Kępnie. Z zasobem dość szerokiej wiedzy lotniczej starał się o przyjęcie do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Niestety, przez panujące układy polityczne nie zakwalifikował się i jego kariera związana z lotnictwem zakończyła się na modelarstwie.*

– Oto model wykonany w czasie, kiedy byłem instruktorem w Kępnie. – Pokazuje mi kolejny samolot. – To makieta angielskiego Halifaxa. Większość części zrobiono z drewna, podwozie jest z aluminium pochodzącego z rozbitych samolotów, a kółka z gumy. Wykonałem go według niemieckiego planu jeszcze z czasów wojny. Były pewne błędy, więc je poprawiłem. Na prośbę wnuczków przywróciłem mu dawną świetność – przyznaje z zadowoleniem. Wiedza na temat budowy samolotów oraz całe sterty przeczytanych przez Stefana książek z dziedziny literatury faktu przyczyniły się do prób wyjaśnienia tajemniczych katastrof lotniczych. Z prawdziwą pasją, wiedzą i doświadczeniem w tym temacie śledzi wydarzenia historyczne oraz współczesne, próbując dociec prawdy. Kiedy marzenie o lotnictwie okazało się niemożliwe do zrealizowania, postanowił pójść w ślad za dziadkiem i został leśnikiem. Po studiach w Poznaniu w wielkopolskich Lasach Państwowych przepracował czterdzieści lat. Jego pasje, poza lotnictwem, w wielu aspektach nawiązują do pracy zawodowej. Od wielu lat jest czynnym myśliwym. Dobrodziejstwa lasu wykorzystuje do rozwijania zainteresowań artystycznych. Z drewna różnych gatunków drzew rzeźbi motywy przyrodnicze, religijne i historyczne. – Przez trzydzieści lat wyrzeźbiłem ponad sześćset główek Chrystusa z koroną cierniową – przyznaje, wręczając mi jedną z nich. – Czasem rzeźbię na zamówienie. Jeśli spodoba mi się jakaś gotowa praca, to później tworzę kopię

dla siebie. Ten młynarz jest tego przykładem – opowiada Stefan o swojej rzeźbiarskiej pasji. Poroże wykorzystuje do tworzenia oryginalnych lasek czy świeczników. Praca w leśnictwie nie tylko zainspirowała go do rozwijania pasji artystycznych, lecz także zaowocowała odkryciem talentu pisarskiego. Za namową nadleśniczego Andrzeja Wawrzyniaka zaczął pisać. – Znając moje lekkie pióro, troszkę wykorzystywano mnie w pracy – śmieje się Stefan. – Chociaż muszę przyznać, że nigdy za bardzo nie lubiłem pisać, ale jak już piszę, to staram się, żeby brzmiało to jasno i estetycznie. Zdolności pisarskie prezentował więc w artykułach drukowanych między innymi w „Lesie Polskim” czy „Przeglądzie Leśniczym”. Pisał sprawozdania dla Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa z branżowych wyjazdów zagranicznych, w których brał udział. Otrzymał także nagrodę w konkursie „Wspomnienia leśników”, gdzie opisał rozwój mechanizacji w Lasach Państwowych, której był świadkiem, przez wiele lat pracując na stanowiskach od leśniczego do inspektora. Wychował się w atmosferze kultu dla przeszłości, dlatego bardzo ważne było dla niego zachowanie dla pokoleń osobistych wspomnień – historii, których był uczestnikiem i które udało mu się zapamiętać z rozmów dorosłych w czasach jego dzieciństwa. Przez sentyment do rodzinnej miejscowości, motywowany i wspierany przez nadleśniczego Andrzeja Wawrzyniaka oraz lokalne władze, spisał swoje wyjątkowe przeżycia. – Opisuję



w nich między innymi, jak w wieku ośmiu lat w Winnej Górze koło Wrześni zastała mnie wojna – oznajmia mi Stefan. – Wspominam także, gdy jako mały chłopiec wykazywałem już zainteresowanie lotnictwem. Pamiętam również, kiedy kilka dni od wybuchu drugiej wojny światowej, właśnie w Winnej Górze, ujrzałem sarkofag z ciałem generała Jana Henryka Dąbrowskiego – tego z hymnu narodowego! – z ekscytacją przywołuje te chwile. – To było wrażenie na całe życie! Nie dowierzałem, że jest pochowany w Winnej Górze. Pamiętam dzień, w którym ojciec – jako jeden z nielicznych posiadający wówczas aparat fotograficzny – wykonał zdjęcie hrabinie Marii Szembekowej – wnuczce Aleksandra Fredry. Ona była wielką pasjonatką łowiectwa. To zdjęcie ukazało się później, w 2000 roku, w „Łowcu Polskim”. Ja ją naprawdę pamiętam

ze sztuczerem, w popielatym kostiumie, męską czapką na głowie i lornetką. Nieraz mijalem ją, kiedy jechałem z dziadkiem bryczką – z prawdziwym ożywieniem wspomina Stefan. – Ona w całym życiu upolowała osiemset rogaczy! – dodaje. To tylko nieliczne wątki z niezwykłych zapamiętanych przez Stefana przeżyć, które spisał w książce „Zdarzyło się w Siemianicach”, wydanej w Kępnie w 2010 roku. – Nie napisałem tego dla zysku, ale w hołdzie dla swojej rodzinnej miejscowości, dla ludzi i historii – podsumowuje. Jego zasługi dla lasów, regionu i historii zostały docenione po kilku latach od przejścia na zasłużoną emeryturę. Na wniosek ostatniego przełożonego otrzymał wtedy Kordelas Leśnika Polskiego, ponieważ gdy pracował w Lasach Państwowych, ta forma wyróżnienia jeszcze nie istniała.

66 Jarosław Krzyżostanek

leśniczy, Nadleśnictwo Przedborów



Zawsze lubiłem się chować

Lasy sosnowe, piaszczyste wydmy, dywany borówki czarnej, wąskie drogi, zakręty, łąki, pastwiska... Jak w kalejdoskopie, obrazy szybko umykają za szybą samochodu, przeistaczając kształty, kolory i wrażenia. Choć zmieniająca się przestrzeń wdiera się do mojej pamięci tylko ulotnym widokiem podczas jazdy, to właśnie ona jest miejscem realizacji pasji Jarosława z leśnictwa Szustry.

Przygoda z zaawansowanymi biegami na orientację zaczęła się dla Jarosława siedemnaście lat temu. Można by wnioskować, że jest to wypadkowa większości jego zainteresowań i upodobań. Jak twierdzi – biega, odkąd nauczył się chodzić. Początkowo, jak większość dzieci, gonił za piłką. Od 2003 roku osiąga znaczące sukcesy w biegach na orientację, zarówno na szczeblu międzynarodowym, jak i lokalnym. Pierwsze zwycięstwo zdobył podczas mistrzostw Polski w biegach na orientację dla leśników, startując z ponad stu pięćdziesięcioma uczestnikami. Ten sukces zmotywował go do doskonalenia się w tym sporcie. – *Biegi na orientację to idealny sport dla leśnika – i prozdrowotny, i proedukacyjny. Doskonali zmysł orientacji w przestrzeni i kondycję fizyczną – przekonuje.*

Bieganie między drzewami, krzewami, w zaroślach, ale czasami także wśród wąskich uliczek i ciekawych obiektów architektury można by porównać do zabawy w chowanego. W przypadku Jarosława zajęcie to dobrze współgra z jego skrytym uosobieniem. – *Zawsze lubiłem się chować* – przyznaje żartobliwie. Niby żart, a pewnie jest w nim ziarno prawdy, bo świadczy o postrzeganiu przez biegacza lasu jako miejsca umożliwiającego pewną izolację. Dlatego też niemal od zawsze las był dla Jarosława miejscem realizacji planów życiowych i zawodowych. Bez wahania przyznaje, że nie żałuje decyzji o studiach na wydziale leśnym ani o podjęciu pracy leśnika. Choć, wbrew pozorom, wymaga ona kontaktu z ludźmi i pewnych zdolności menedżerskich, to dzięki brakowi monotonii i obcowaniu z przyrodą napędza do dalszych działań. Biegi na orientację, które Jarosław trenuje, przemierzając ścieżki i bezdroża okolicznych lasów, pól i łąk, są sportem przyjemnym, ale też wymagającym. Według Jarosława najważniejsze są trzy warunki, które trzeba w sobie wypracować lub też z siebie wydobyć: zmysł orientacji w przestrzeni, kondycja fizyczna oraz odporność psychiczna. Ta ostatnia cecha, choć może wydawać się mało znacząca,

odgrywa bardzo ważną rolę. Nie tylko trzeba uodpornić się na stres związany z rywalizacją i presją czasu, ale przede wszystkim należy sobie radzić w trudnych sytuacjach, na przykład gdy się zabłądzi lub ma świadomość, że jest się zdanym tylko na siebie. Dzięki tym zdolnościom, ogromnemu samozaparciu i wsparciu żony Jarosław pokonuje trasy od 10 do 20 kilometrów, zarówno w przestrzeni miejskiej, jak i zupełnie dzikich obszarach, wśród urokliwych zaułków europejskich miast oraz leśnych kniei. Skoncentrowany i wysportowany, z mapą, kompasem, w stroju z lekkich, przewiewnych tkanin, według własnego pomysłu zalicza punkty kontrolne w wyznaczonej kolejności, odnosząc sukcesy podczas zawodów i zarażając swoją pasją innych. Najlepszym treningiem, jaki od pewnego czasu daje mu wiele satysfakcji, jest prowadzenie zajęć w klubie sportowym w Zespole Szkół w Sokolnikach. Z gromadą ponad dwadzieścioro dzieci odkrywa uroki biegów na orientację i stara się zarażać ich pasją do tej dość nietypowej dyscypliny. Śladami jego sukcesów podąża dziesięcioletnia córka, która – podobnie jak tata – ma już na swoim koncie pierwsze sukcesy. Żona natomiast wspiera go wyrozumiałością w związku z częstymi



wyjazdami, a także dopinguje podczas zawodów. Zorganizowała również z mężem Powiatowe Mistrzostwa Biegów na Orientację, motywując tym samym łączenie bardzo przyjemnej i pożytecznej formy spędzania wolnego czasu przez dzieci, dorosłych i najstarszych w rodzinnej atmosferze. Zamiłowanie do przyrody i obcowania z nią przejawia się również w innych zainteresowaniach Jarosława. Trochę z przymusu, kiedy żona z powodu zajęcia w ciążę musiała zrezygnować z zajmowania się końmi, nauczył się jeździć konno. Jak przyznaje, początki były wręcz przerażające! Zaliczył dwanaście upadków, a później... przestał liczyć. Pamięta trudy, zdarzenia



bardzo niebezpieczne, jak na przykład upadek wraz z koniem podczas galopu wśród gęstwiny drzew. Mimo początkowych trudności zwierzęta te go zafascynowały. Stały się nowym wyzwaniem i kolejną pasją, na którą ciągle ma za mało czasu. Od kilkunastu lat jest także zapalonym pszczelarzem, ma dwadzieścia uli. Obserwacja i poznawanie życia tych niepozornych, lecz pożytecznych owadów sprawia mu wiele przyjemności. I choć upiera się, że *człowiek powinien mieć jedną, konkretną pasję i jej się poświęcić*, to nie potrafi podjąć decyzji. Wytrwale, mimo wiecznego braku czasu, godzi liczne zainteresowania z pracą i życiem rodzinnym, które też są... pasją.

Rafał Śniegocki

naczelnik Wydziału Promocji, Edukacji i Udostępniania Lasu,
Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Poznaniu

70

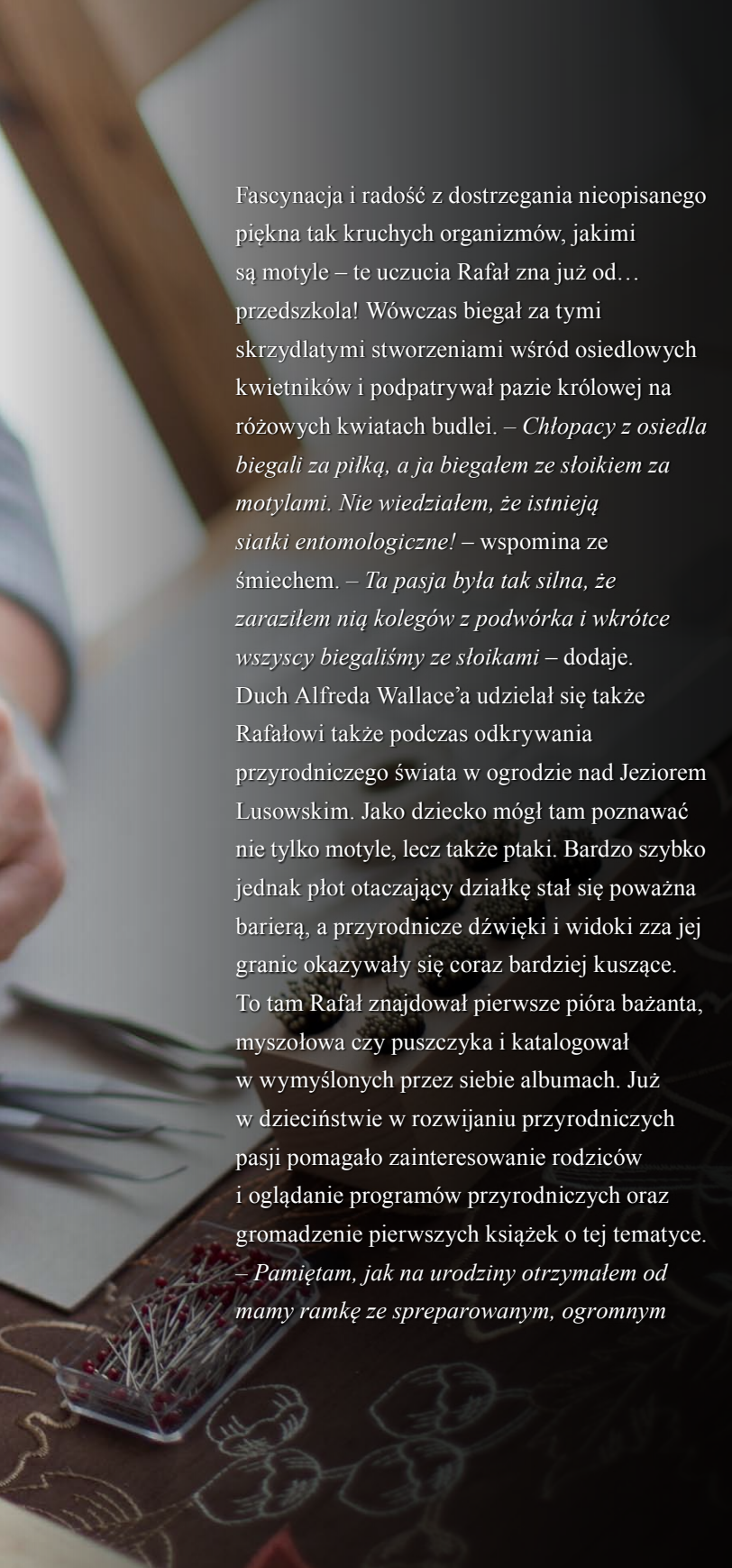


A person's hands are visible holding a large, translucent, golden-brown net. The net is held up, and its mesh is visible. The background is a dense forest with sunlight filtering through the leaves, creating a bokeh effect of bright, out-of-focus circles of light. The overall mood is serene and natural.

Motyle otwierają mi okno na świat

– Chciałbym być jak Alfred Wallace – przyznaje Rafał, pokazując mi kolejną gablotę z motylami o niezwykłych barwach, kształtach i rozmiarach. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to wspaniałe uczucie być odkrywcą. Na jednej z kart swojego pamiętnika Wallace wspomina niemożliwe do opisanie emocje, których poza entomologiem nikt więcej nie jest w stanie zrozumieć ani przeżyć. W listach z Archipelagu Malajskiego pisał o nowo odkrytym gatunku: „Przy wyjmowaniu motyla z siatki i rozkładaniu mu skrzydeł serce zaczęło mi gwałtownie bić, krew napłynęła do głowy i wydawało mi się, że zaraz zemdleję, tak jak to bywa w poczuciu nadchodzącej śmierci. Przez resztę dnia miałem potworny ból głowy. Tak wielkie było to podniecenie, którego powód większość ludzi uznałaby za błahy” – Rafał z pewnym wzruszeniem przywołuje słowa wielkiego odkrywcy i przyrodnika. – Ja znam to uczucie i doskonale je rozumiem – dodaje.





Fascynacja i radość z dostrzegania nieopisanego piękna tak kruchych organizmów, jakimi są motyle – te uczucia Rafał zna już od... przedszkola! Wówczas biegał za tymi skrzydlatymi stworzeniami wśród osiedlowych kwietników i podpatrywał pазie królowej na różowych kwiatach budlei. – *Chłopacy z osiedla biegali za piłką, a ja biegałem ze słoikiem za motylami. Nie wiedziałem, że istnieją siatki entomologiczne!* – wspomina ze śmiechem. – *Ta pasja była tak silna, że zaraziłem nią kolegów z podwórka i wkrótce wszyscy biegaliśmy ze słoikami* – dodaje. Duch Alfreda Wallace’a udzielał się także Rafałowi także podczas odkrywania przyrodniczego świata w ogrodzie nad Jeziorem Lusowskim. Jako dziecko mógł tam poznawać nie tylko motyle, lecz także ptaki. Bardzo szybko jednak płot otaczający działkę stał się poważną barierą, a przyrodnicze dźwięki i widoki zza jej granic okazywały się coraz bardziej kuszące. To tam Rafał znajdował pierwsze pióra bażanta, myszołowa czy puszczyka i katalogował w wymyślonych przez siebie albumach. Już w dzieciństwie w rozwijaniu przyrodniczych pasji pomagało zainteresowanie rodziców i oglądanie programów przyrodniczych oraz gromadzenie pierwszych książek o tej tematyce. – *Pamiętam, jak na urodziny otrzymałem od mamy ramkę ze spreparowanym, ogromnym*

egzotycznym motylem – wspomina Rafał z sentymentem. – *Teraz wiem, że był to Morpho menelaus. Zachwycił mnie na tyle, że zacząłem marzyć o kolekcjonowaniu również motyli egzotycznych.*

Rozniecane w dzieciństwie zainteresowanie podziwiania, kolekcjonowania i preparowania motyli bardzo szybko, ale z wielkim nakładem pracy i samozaparcia, przerodziło się w wyspecjalizowaną pasję. Rafał samodzielnie pozyskuje kolekcjonerskie eksponaty ze środowiska naturalnego albo z własnych hodowli. Egzotyczne gatunki motyli kupuje z certyfikowanych ferm motyli na całym świecie. Pierwszych „motylowych zakupów” dokonał za zaledwie kilka złotych. Na tych osobnikach uczył się precyzyjnego preparowania. Chęć posiadania innych niezwykłych gatunków, zwłaszcza z lasów tropikalnych Ameryki Południowej czy Indonezji, często wiązała się z utratą sporej części oszczędności, a emocje towarzyszące ich preparowaniu – odpowiedniemu nawilżaniu i dokładnym rozkładaniu skrzydeł oraz umieszczaniu w gablotach – dostarczały sporej dawki adrenaliny. – *Preparowanie to sztuka, której nauka wymaga czasu i zdobycia niezbędnego doświadczenia. Uczy też cierpliwości w dążeniu do celu. Zasuszone*

motyle bardzo łatwo uszkodzić. Choć teraz mam już wprawę i doświadczenie, to przy rozkładaniu bardzo cennych gatunków nadal nierzadko zadrzę mi ręce. W tej dziedzinie widać każdy błąd. Pod tym względem mój warsztat przypomina stół chirurgiczny, nawet narzędzia są podobne – przyznaje Rafał.

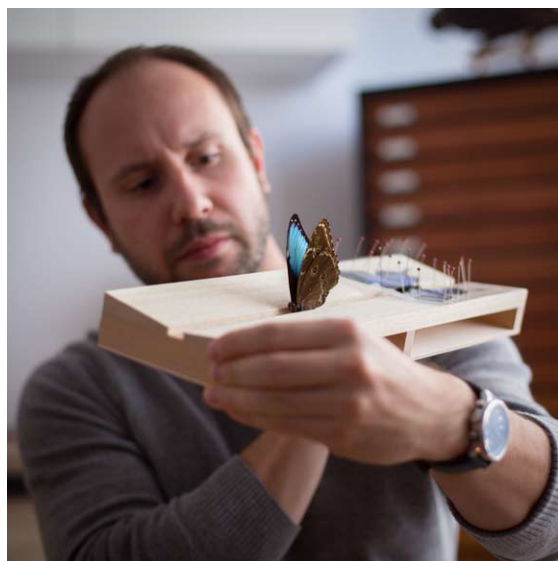
Nie tylko kolekcjonuje motyle, lecz także cały czas pogłębia wiedzę na ich temat. Z polskich gatunków najbardziej fascynują go motyle leśne z rodziny rusałkowatych. Z egzotycznych – *Morpho* oraz niezwykle *Ornithoptera* i *Troides*, o wyjątkowych geometrycznych wzorach na skrzydłach. Obecnie posiada w swoich zbiorach kilkaset gatunków. – *Cały czas jestem w trakcie katalogowania, ale jedno wiem na pewno – brakuje mi już miejsca – tłumaczy z uśmiechem na ustach. – Część eksponatów jest rozłożona w gablotach, większość jednak wciąż czeka na wypreparowanie.*

Od czterech lat Rafał na swoje „motyle łowy” wybiera się nie tylko z siatką entomologiczną, lecz także z aparatem fotograficznym i zestawem obiektywów. Mimo że ekscytacja ze złapania motyla jest ogromna, to zawsze pozostawał dylemat moralny związany z zabijaniem tych pięknych zwierząt. Obecnie przyznaje, że z fotografowania ich czerpie dużo więcej przyjemności. Przekonał się o tym, jeżdżąc w Bieszczady, które są jego ulubionym miejscem na obcowanie z przyrodą. W tym roku odnalazł tam po raz pierwszy samicę

pokłonnika osinowca, o której marzył od lat: – *Pierwszy raz zobaczyłem ją w naturalnym środowisku! Jest fenomenalna, jak na największą krajową rusałkę przystało. To bardzo skryty motyl. W przeciwieństwie do samców, samica nie zlatuje na ziemię, prowadząc życie w koronach drzew – niemal jak Alfred Wallace wspomina Rafał swoje emocje, które pewnie może poczuć jedynie entomolog z taką pasją jak on.*

– *Motyle są dla mnie zwierciadłem świata przyrody – przyznaje, kiedy pytam, co jest najbardziej fascynującego w tych kruchych, lecz pięknych owadach. – Dzięki nim odkrywam złożoność ekosystemów leśnych na całym świecie, poznaję faunę, florę, procesy i zależności. Motyle spełniają też moje marzenia o podróżach. Preparując egzotyczne gatunki, od razu przenoszę się w miejsce ich występowania. Lokalizuję je na mapie, poznaję krajobraz, przyrodę i plemiona, które tam żyją. Motyle otwierają mi okno na świat. Dlatego zrobienie gabloty zajmuje mi tyle czasu – opowiada Rafał. – Ta pasja wyzwoliła we mnie kolejne zainteresowania: podróżami, ornitologią, fotografowaniem czy gromadzeniem zagranicznych publikacji na ten temat.*

Zainteresowanie Rafała światem przyrody, które później zaowocowało studiami leśnymi i realizacją obowiązków zawodowych z bardzo dużym zaangażowaniem, ma swoje odbicie także w pasji ornitologicznej, którą



rozwinął w czasie studiów, działając w Sekcji Ornitologicznej Koła Leśników na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu. Wówczas fascynowały go ptaki szponiaste. Później, już gdy pracował w Lasach Państwowych, zainteresował się sowami.

– *Są niezwykle i mistyczne* – tłumaczy swoją fascynację. – *Zaczęłem być „sowoholikiem” i interesować się tymi ptakami zarówno od strony biologicznej, jak i kulturowej. Tradycja, zabobony i legendy związane z sowami są niezwykle, a przeżycia, gdy usłyszysz ich odgłosy w nocy – nieopisane. Mijają wówczas wszystkie problemy* – opowiada z przejęciem.

– *Ptaki te są uosobieniem magicznych sił,*

a ja zawsze byłem człowiekiem ze świata fantasy – dodaje z uśmiechem, wspominając o swoim ulubionym gatunku literatury.

Te niezwykle pasje związane ze światem ptaków i motyli oraz zachwyty leśnym ekosystemem są bliskie Rafałowi każdego dnia. Odzywają się echem zarówno podczas pracy, jak i w czasie wolnym, a co najważniejsze – Rafał ciągle zaraża nimi innych, publikując liczne teksty popularnonaukowe, biorąc udział w prelekcjach, warsztatach oraz wyjątkowych akcjach na szczeblu regionalnym i ogólnopolskim, jak np. Bubobory, Noc Sów czy spotkania Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków.

76 Andrzej Antowski

podleśniczy, Nadleśnictwo Jarocin





Jestem dumny, że mogę nosić mundur leśnika

Piję kawę z żoną Andrzeja, siedząc przy ogromnym stole wykonanym z poroży jelenia, kiedy on wchodzi do pokoju w mundurze leśnika z 1930 roku. Odejmuje mi mowę – w kilka sekund odbywam podróż w czasie i przenoszę się do świata mojego dziadka, znanego mi tylko z fotografii w babcinym albumie. – *Tak myślałem, że ci się dziadek przypomni, jak mnie zobaczysz. To mundur dokładnie z czasów, o których wspominałaś w nawiązaniu do swojej rodzinnej historii* – uśmiecha się Andrzej, kiedy widzi, że szklą mi się oczy.

Fascynacja leśnictwem sięga u Andrzeja lat dziecięcych. Odwiedziny u wujka leśniczego, przebywanie w starej leśniczówce z czerwonej cegły w środku lasu i poznawanie przyrody zrodziły w nim ogromne marzenie, by właśnie tak wyglądało jego życie. Po ukończeniu Technikum Leśnego w Goraju i odbyciu stażu w Nadleśnictwie Pniewy małymi kroczkami zaczął to marzenie realizować. – *Wierzę, że świat opiera się na przypadkach, ale ktoś nimi kieruje. Wygrałem kilka szóstek w życiowym totolotku: pierwsza to żona i syn, druga to otrzymanie wymarzonej pracy w Lasach Państwowych, trzecia – stara leśniczówka w leśnej guszy. Jest jeszcze czwarta, o której na razie nie mówię* – tajemniczo opowiada Andrzej między zaciągnięciami spalanego tytoniu.

Leśna przestrzeń, w której ma szczęście pracować i żyć, jest dla niego i jego żony inspiracją. Zimą Andrzej z wielkim zapałem poszukuje jelenich zrzutów. Jest szczęśliwym znalazcą, gdyż posiada ich ogromne ilości.

– *Jak się odszuka poroże, to jest takie odczucie, jakbyś naprawdę znalazł skarb!* – przekonuje.

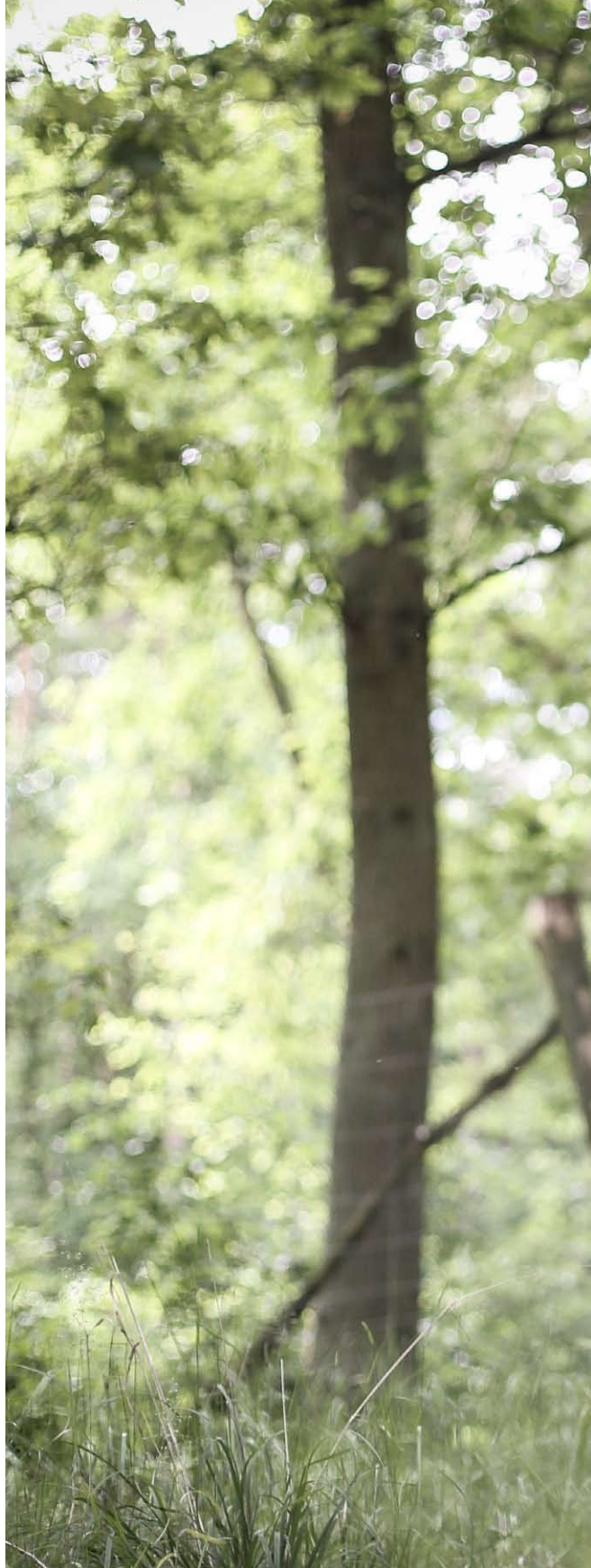
– *Lubię sobie czasem pogadać ze świętym Hubertem* – dodaje z uśmiechem. – *Dzięki temu takie właśnie skarby w lutym i marcu w lesie znajdują.* Wraz z kreatywną żoną wykorzystują je do upiększania domu.

Nie to zajęcie jest jednak główną pasją Andrzeja. Gdy miał siedem lat, podczas wizyty w poznańskiej Cytadeli zachwycił się zbiorami tamtejszego muzeum. Zaczął więc poszukiwać pamiątek z okresu drugiej wojny światowej, a w wieku trzynastu lat został posiadaczem pierwszego poważnego eksponatu. – *I od tego się zaczęło. Najpierw kolekcjonowałem militaria, ekwipunek, mundury, publikacje książkowe* – opowiada. Bardzo szybko jednak połączył pasję kolekcjonowania spuścizny historii naszego regionu z zawodem leśnika. – *No bo gdzie partyzantka siedziała? Przecież nie na polu, tylko w lesie* – opowiada z ekscytacją.

– *A strażnikiem lasu jest właśnie leśniczy. Nie tylko więc chronił polską przyrodę, lecz także zapewniał schronienie żołnierzom. Zaczęłem więc kolekcjonować wszystko, co wiązało się z zawodem leśnika, a miało przełożenie na działania wojenne.*

Taka pasja wymaga dużego samozaparcia.

Należy ciągle pogłębiać wiedzę, by wszystko było jak najbliższe prawdy. Nierzadko też trzeba





dokonywać trudnych wyborów między wysoką ceną danego fantu a chęcią jego posiadania. – *Jestem po prostu oszczędny, jak typowy Poznaniak* – przyznaje Andrzej. – *Nie wydaję za dużo pieniędzy na te eksponaty. Czego nie można nabyć, da się zrekonstruować lub otrzymać w drodze wymiany. Jak się chce, to wszystko jest możliwe* – przekonuje. Jego zdolności rekonstrukcyjne zostały zauważone i wykorzystane przez firmę zajmującą się profesjonalnie szyciem mundurów i tworzeniem militarnego ekwipunku. W zajęciu tym Andrzej jest bardzo pedantyczny i skrupulatny. Dzięki temu przyczynił się do stworzenia elementów żołnierskiego wyposażenia wykorzystanych w filmach „Hans Kloss. Stawka większa niż śmierć” oraz „Walkiria”. Podziw dla polskich leśników i ich zaangażowania w czasie wojny przyczyniły się do zainicjowania działań upamiętniających te wydarzenia. – *Myszę, że to najpiękniejsza karta historii polskiego leśnictwa – zaangażowanie tych ludzi w działania konspiracyjne w czasie wojny. Dzięki ich postawie możemy dziś gospodarować w lasach państwowych i mamy wolną Polskę* – podkreśla w rozmowie. – *Jestem dumny, że mogę nosić mundur leśnika* – przyznaje Andrzej z satysfakcją. Dlatego też z jego inicjatywy na terenie Nadleśnictwa Jarocin usytuowano dwa kamienie pamiątkowe. Jednym z nich jest głaz przy leśniczówce Brzozowiec, upamiętniający działalność leśniczych: Władysława

Florkowskiego i Stanisława Zielińskiego, którzy w czasie okupacji hitlerowskiej działali na rzecz Polskiego Państwa Podziemnego w Wielkopolsce. Obecnie Andrzej kończy pisanie obszernej publikacji „Poznańscy leśnicy w służbie Wielkopolski walczącej 1939–1945”. Doszukuje się więc archiwalnych, nigdzie niepublikowanych fotografii, docieka prawdy o życiu i działalności leśników w wojennej zawierusze, rozmawia z rodzinami i... pisze wyjątkową książkę. – *Najbardziej zależy mi, żeby sylwetki leśników nie zostały zapomniane* – przyznaje. – *Dlatego robię teraz wszystko, aby upamiętnić ich udział w działaniach konspiracyjnych. Książka to niewielka tego część – tajemniczo zdradza swoje plany Andrzej.* – *Dzięki swojemu wielkiemu zainteresowaniu tym tematem oraz nagromadzonym eksponatom zostanie stworzone coś, co będzie długo służyło przyszłym pokoleniom. Konkretnie eksponaty poprę materiałem ikonograficznym lub pisanym – nadal enigmatycznie wspomina.* – *Co to będzie? Nie zdradzę, zanim nie ukończę. Będzie to moja kolejna wygrana szóstka w życiowej loterii, którą sam skreślę. Z pewnością efekty wzbudzą pozytywne emocje, tym bardziej że wciąż jestem mobilizowany w tym działaniu przez najbliższą rodzinę, znajomych i przełożonych – z iskrą w oku utrzymuje swój plan w niedopowiedzeniu. Pozostaje tylko czekać na imponujące rezultaty.*



Ciągnie człowieka do robienia huku

Prosto do celu! – z opanowaniem, skupieniem i wypracowaną dynamiką. To umiejętność, która budzi we mnie podziw i zainteresowanie. Odkurzam w swojej pamięci wspomnienia, kiedy w młodszych latach uczestniczyłam w międzyszkolnych zawodach strzeleckich, strzelając z wiatrówki. Tarcza była duża, a przede wszystkim statyczna. Celowanie oraz trafiać do obiektów poruszających się z różną prędkością, w różnym układzie i z różnych stron, to zdolności dość wyjątkowe. Wizyta na strzelnicy w obecności mistrza w sześcioboju myśliwskim jest więc dla mnie doskonałą okazją do poszerzenia horyzontów i nową przygodą.

Strzelać do rzutek i makiet leśnych zwierząt, a także na treningach i podczas zawodów młodzieżowych, Tomasz zaczął w wieku czternastu lat. Wówczas startował jeszcze pod opieką rodziców. W tym samym czasie zaczął grać na rogu myśliwskim. – *To był taki mały warunek do spełnienia: będę strzelał, jeśli będę grał na rogu* – opowiada Tomasz. – *I tak do dziś trąbię na mszach myśliwskich, polowaniach i innych uroczystościach. A do 2000 roku grałem też w Zespole Sygnalistów Myśliwskich przy Okręgowej Radzie Łowieckiej w Lesznie* – wspomina z uśmiechem. Choć nauka gry na sygnałowie stała się umiejętnością ważną w kręgach łowieckich i leśnych oraz urozmaicającą życie Tomka, to jednak zapoczątkowana już w młodszych latach pasja strzelecka okazała się trafnie wybraną ścieżką, na której Tomek od wielu lat odnosi sukcesy. Strzelectwo, podobnie jak myślistwo i leśnictwo, ma we krwi. Kontynuacja tych tradycji rodzinnych była dla niego naturalną kolejną rzeczą: – *Dla mnie było normą, że ojciec, dziadek, wujowie jeżdżą na zawody strzeleckie, strzelają do rzutek i do tarczy oraz że często te zawody wygrywają. Teraz jest taka mała konkurencja w rodzinie, która mobilizuje do ciągłego treningu* – śmieje się Tomasz, tłumacząc swoje strzeleckie zaangażowanie.





Idąc w ślady dziadka, Tomasz jest wielokrotnym mistrzem Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu oraz okręgu Leszno w sześcioboju myśliwskim. Wygrywa zawody na szczeblu okręgowym, regionalnym i ogólnopolskim, a w Systemie Zawodów Centralnych czterokrotnie udało mu się zdobyć „Złoty Wawrzyn Strzelecki”. Strzeleckie konkursy wiosną i latem zajmują mu praktycznie każdy weekend, a zdobyte puchary oraz medale prawie nie mieszczą się w pokoju! Jest prawdziwym czempionem, ale jak sam przyznaje: – *Strzelectwo to jest mnóstwo porażek, które muszą poprzedzić sukces. Strzelać może każdy. Jak on daleko „pofrunie” w tej dyscyplinie, jest już sprawą indywidualną. Żeby być dobrym strzelcem w sześcioboju myśliwskim, trzeba dopracować mnóstwo rzeczy we własnej głowie, psychice, postawie, kondycji fizycznej i broni.*

Trudnościami, które wysuwają się na pierwszy plan, są wysokie koszty związane z uprawianiem tego sportu. Trzeba zainwestować w odpowiednią broń, amunicję, treningi, strój oraz opłaty za udział w zawodach. Jednak pokonanie ograniczeń materialnych to dopiero początek długiej drogi do sukcesu. Można by przypuszczać, że odziedziczony przez Tomka talent i dobre oko są gwarancją zwycięstwa.

Posiadanie tych predyspozycji jest nieodzowne, ale w odnoszeniu tak licznych sukcesów to nie wystarczy. Należy wyćwiczyć pewną rękę, opanowanie, wytrwałość oraz zadbać o kondycję fizyczną. – *Strzelanie mężczy – zdradza Tomasz. – To się tylko tak wydaje, że się stoi i strzela do jakiejś rzutki. A tak naprawdę na wycelowanie i trafienie mam mniej niż sekundę. Żeby uprawiać ten sport, trzeba więc mieć kondycję fizyczną. Dlatego też biegam, jeżdżę rowerem* – wyjaśnia. Dla Tomasza bardzo ważna jest także odporność psychiczna. Da się to szczególnie odczuć podczas zawodów, kiedy trzeba zmagać się ze stresem wynikającym z obecności widowni, doping, nadziei znajomych, konkurencją, a przede wszystkim z presją uzyskania najlepszego wyniku. – *Im lepsze są wyniki, tym trzeba być odporniejszym psychicznie. Trzeba umieć się uspokoić i opanować – odciąć od zmartwień dnia codziennego i dać z siebie wszystko.* Te umiejętności nieraz zapewniły Tomaszowi zwycięstwo. Mimo że strzelectwo wiąże się z pewnymi wyrzeczeniami, to te zmagania dają nadal Tomaszowi motywującą satysfakcję. Czerpie on także wiele przyjemności z obecności na zawodach i przebywania w towarzystwie ludzi o podobnych zainteresowaniach.





– Jest integracja, przyjazna atmosfera, poznaje się ciekawych ludzi z całej Polski i z zagranicy – podkreśla walory strzelectwa Tomasz. – Każdy z pasjonatów strzelectwa chce się co jakiś czas pokazać na zawodach, poczuć te emocje – po prostu ciągnie człowieka do robienia huku! – dość obrazowo i żartobliwie wyjaśnia mi Tomek.

Doskonale wytrenowana celność i opanowanie przydają się również podczas polowań. Myślistwo to także rodzinna tradycja Tomasza. Podobnie jak praca w lesie i obcowanie z nim, było przekazywane z pokolenia na pokolenie. Dlatego też dla Tomka las to pewien sposób życia. Od najmłodszych lat marzył, żeby zostać leśnikiem.

Obecnie Tomasz ma coraz mniej okazji do przebywania w lesie. Dlatego też bardzo docenia okres łowiecki od jesieni do końca zimy. Po intensywnych zawodach strzeleckich to właśnie polowanie jest dla niego okazją do bliskiego kontaktu z przyrodą. Jak sam przyznaje:

– Polowanie to taka ucieczka w przyrodę. Obecnie wykonuję pracę biurową. Możliwość posłuchania ptaków, innych zwierząt, rykowiska, podglądanie saren jest możliwe właśnie dzięki polowaniom – szczerze przyznaje. – Najbardziej lubię las, gdy spadnie świeży śnieg – ma taki baśniowy urok. Lubię też wiosnę, kiedy wszystko budzi się do życia. Cykliczna zmienność w świecie przyrody, stagnacja i prawdziwa ekspresja to momenty budzące zachwyt u Tomasza bardzo trafnie odzwierciedlają jego naturę i strzelectwo – pasję, której podporządkował sporą część swojego życia.

Ryszard Wagner

emerytowany pracownik Nadleśnictwa Babki



Wychowałem się w kulcie sztuki i przyrody

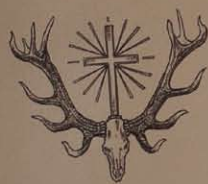
Udając się na spotkanie z Ryszardem, przypomniałam sobie opowieść o świętym Hubercie i legendarnym jeleniu z krzyżem między porożem, która była żywa także w mojej rodzinie, o tradycjach myśliwskich i leśnych. Jako dziecko dostrzegałam ten wizerunek na obrazach oraz przedmiotach codziennego użytku w domu wuja myśliwego i z ciekawością dopytywałam o jego znaczenie. Pokój Ryszarda był pełen graficznych dzieł sztuki o tematyce łowieckiej i przyrodniczej, które wywołały w mojej głowie mnóstwo pytań, jak w dzieciństwie. Ryszard natomiast, pochłonięty swoją fascynacją i wraz z ogromną wiedzą o łowiectwie, zabral mnie w świat niezwykłych opowieści o sztuce, polowaniu i przyrodzie.



– *Jak cię oceniają, takim jesteś* – Ryszard zaraz na początku podsumowuje swoją trzydziestoletnią pracę w leśnictwie. Przechodząc na emeryturę, został bowiem odznaczony najwyższym leśnym odznaczeniem – Kordelasem Leśnika Polskiego, co było zwieńczeniem jego wieloletniego zaangażowania w pracę zawodową. – *Łączyłem ten piękny zawód leśnika ze sztuką. Wychowałem się w kulcie sztuki i przyrody* – tłumaczy mi Ryszard. – *Zawsze uważałem, że trzeba wyjść naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu. Zawsze więc starałem się ukazywać zarówno przyrodę, jak i łowiectwo jako czynnik kulturotwórczy* – zaznacza. Choć jest wieloletnim, czynnym myśliwym, to właśnie rola łowiectwa w tworzeniu polskiej kultury i jego oddziaływanie na sztukę jest dla Ryszarda największą zaletą. Za propagowanie kultury łowieckiej został nawet odznaczony bardzo prestiżowym Medalem Świętego Huberta. Uważa, że łowiectwo jest jedną z największych wartości naszego dziedzictwa narodowego. Uzasadnić to można na przykład zachowaniem naturalnej, nieznieskształconej działalności człowieka różnorodności biologicznej Puszczy Białowieskiej. – *Ona przetrwała tylko dlatego, że w 1409 roku decyzją króla Władysława Jagiełły uzyskała status puszczy królewskiej – jako obszar łowiecki została przeznaczona tylko dla władców polskich. Następnie, po utracie przez Polskę niepodległości w 1795 roku, mogli tam polować jedynie carowie rosyjscy* – przekonuje. Dostrzeganie i ukazywanie tradycji łowieckiej

na przestrzeni dziejów poprzez sztukę, szczególnie graficzną, jest dla Ryszarda głęboko zakorzenioną pasją. Przejawia się ona głównie w bogatym zbiorze niezwykle cennych dzieł sztuki o tematyce przyrodniczej i łowieckiej znanych artystów z całej Europy, tworzących od XVI wieku. Ta tradycja kolekcjonerska została zapoczątkowana przez babcię Ryszarda. On, wychowany w tym nurcie, teraz ją kontynuuje, a także stara się udostępniać tę wiedzę i zbiory. Co więcej, swoje zafascynowanie kulturotwórczą rolą łowiectwa i przyrody poszerza o takie dziedziny jak literatura, rzeźba i muzyka. – *Fascynuje mnie kulturotwórcza rola łowiecka od czasów prehistorycznych, przez mitologię grecką i kolejne okresy, aż do czasów współczesnych* – opowiada. – *Każdy okres w kulturze łowieckiej jest piękny. Nie mogę mówić, że jakiś jest szczególnie. Pod względem grafiki jednak najpiękniejszy jest barok, na przykład dzieła Giovanniego Stradano* – podkreśla. Śledząc tradycję myśliwską na przestrzeni dziejów, zwraca uwagę na mity greckie, na przykład „O polowaniu na dzika kalidońskiego” czy „O Artemidzie i Akteonie”, przedstawione na miedziorytach Bernarda Picarta. W średniowieczu na zachwyty zasługują herby zoomorficzne ze zwierzyną łowną, do których przypisane są legendy herbowe. Ryszard szczególnie podkreśla znaczenie „Legandy o jednorożcu”. – *Na przestrzeni wieków oddziaływała na wyobraźnię łowców. Szczególnie przez antropomorfizację jednorożca, któremu*

Ekslibris



Włodka Wrzeszcza

Ekslibris Włodka Wrzeszcza
Ryszard Wagner, rys. tuszem / skaner, 2014 r.

Ekslibris



*Jreneusza
Kamińskiego*

przypisano cechy przejęte z kodeksu honorowego rycerstwa: odwagę, honor, godność. Podobne wartości dostrzec można także w „Legendzie o świętym Hubercie”.

– Ta legenda jest dla mnie w swym etycznym przesłaniu fundamentem do budowania w sobie zasad etycznych w relacji myśliwy – zwierzyzna łowna. Zasad będących we współczesnym łowiectwie wartością nadrzędną, od których nie ma jakiegokolwiek odstępstwa – przyznaje. XIX wiek natomiast Ryszard uznaje za „złoty” dla kultury łowieckiej. Przywołując fragment „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza o grze Wojskiego na rogu myśliwskim, podkreśla ogromną rolę muzyki i tradycji oddawania sygnałów łowieckich w hołdzie upolowanej zwierzynie. Uważa to za czyn niezwykle wartościowy, a postawę wdzięczności leśnym kniejom za „oddanie” zwierzyny w ręce myśliwego – za godne podziwu i kształtujące prawidłową postawę łowcy. To tylko przykłady arcydzieł zaznaczające kulturotwórczą rolę łowiectwa, o których z fascynacją opowiada Ryszard. Obecnie największą rolę w jego pasji kolekcjonerskiej odgrywają ekslibrisy. – Wychowałem się także w kulcie miłości do książki – tłumaczy. – Ekslibris jest dziełem sztuki nierozzerwalnie złączonym z książką. Jest tu relacja między twórcą a tym, dla kogo ten ekslibris powstał. Można zatem wejść w duszę twórcy i właściciela, dociera się do mentalności i zainteresowań – wyjaśnia swoje zamięślenie do ekslibrisów Ryszard.

– W tym zbiorze ekslibrisów jest zawarta





cała historia łowiectwa – podsumowuje, pokazując mi starannie przygotowane plansze z najrozmaitszymi ekslibrisami, które faktycznie są prawdziwymi dziełami sztuki. Ryszard ma je posegregowane ze względu na tematykę. Dostrzec więc można prace nawiązujące do lasu, ornitologii, entomologii, botaniki. Są też ekslibrisy o tematyce świętych patronów łowiectwa, herbów z motywami łowieckimi czy po prostu dotyczące polowań. – *Należę do tych kolekcjonerów, którzy wychodzą z założenia, że jeśli nawet najmniejsze dzieło sztuki nie jest w obiegu społecznym, to staje się martwe* – podkreśla Ryszard. W myśl tej idei jest więc autorem kilkunastu wystaw zorganizowanych na terenie Polski, propagujących kulturotwórczą rolę łowiectwa, głównie przez sztukę ekslibrisu. Dzieląc się swoją pasją i wiedzą, pisze także artykuły do prasy łowieckiej. Jako człowiek niezwykle wrażliwy na piękno przyrody i sztuki, od kilku lat zasiada w jury konkursu plastycznego dla dzieci organizowanego przez Nadleśnictwo Babki. Bardzo ceni prace dzieci i uważa, że kultura sztuki trzeba szerzyć właśnie w najmłodszym pokoleniu. Za Zenonem Przesmyckim powtarza: *Żyjąc w pięknie, człowiek sam piękniejszym, wyrazistym i szlachetniejszym się staje*. Praca, tak ukierunkowane zainteresowania kolekcjonerskie, a także wciąż rozwijana pasja tworzenia ekslibrisów oraz rzeźb to elementy, które w życiu Ryszarda to piękno zapewniają. Poprzez propagowanie własnego poczucia estetyki właśnie w wystawach czy artykułach Ryszard wciąż się tym pięknem dzieli.

Dociśnij, bo będziesz żałował

– *To szaleństwo!* – dzieli się ze mną swoimi emocjami Piotr.
– *Na wysokości 3300 metrów n.p.m. startuje tłum ludzi. Są to najlepsi z najlepszych z całego świata. A pośród nich jestem też ja – ja i mój rower ponad chmurami w Alpach!* – z podekscytowaniem opowiada o ostatnich zawodach enduro Megavalanche we Francji. – *Niesamowite uczucie: działa adrenalina, serce wali jak szalone, odczuwam deficyt tlenu – jakby brakowało jednego płuca... Zjeżdżam do położonej 2,5 kilometra niżej doliny po śniegu, kamieniach, korzeniach, błocie. A na mecie euforia!* – słucham z zafascynowaniem, widząc radość Piotra, i coraz bardziej ciekawi mnie, jaką drogę musiał przejść, by znaleźć się z rowerem ponad chmurami na największych tego typu zawodach na świecie...



Zanim zdobył się na odwagę, by spełnić marzenie o uczestnictwie w zawodach, musiał odkryć w sobie prawdziwą pasję do kolarstwa górskiego. Od dziecka uwielbiał jeździć na rowerze. W szkole średniej zaangażował się w dalekie wyprawy rowerowe. W wieku piętnastu lat na cel swojej pierwszej podróży wybrał Skandynawię i niekończące się szwedzkie szosy. Od początku sportowe pasje połączył także z zamiłowaniem do przyrody i gór. Na studiach dołączył do sekcji kolarskiej Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu i rozpoczął ściganie w zawodach cross-country (kolarstwo górskie). Po pięciu intensywnych sezonach i stu trzydziestu ukończonych zawodach zaczął szukać czegoś więcej niż tylko pokonywania kilometrów na czas. – *Nagle, po kolejnych trudnych maratonach, trasa nie była już wyzwaniem. Znałem jej przebieg, wiedziałem, co mnie czeka, i nic mnie już nie zaskakiwało. Wiedziałem też, że można wjechać wyżej i poznać ciekawsze miejsca. Zrodził się więc pomysł, by zacząć jeździć zupełnie dla siebie, aby poznawać górskie szlaki i szukać nowych ścieżek. To zaczęło mi dawać najwięcej satysfakcji i wówczas też zacząłem prawdziwie poznawać góry* – tłumaczy Piotr. Tak oto zaczął planować wysokogórskie „tripy” – błądził, szukał i coraz bardziej czuł, że to jest jego przestrzeń sportowa. Rozwinięcie swojej pasji odnalazł właśnie w rowerowym enduro – odmianie kolarstwa, jaką jest jazda rowerem po górskich szlakach, w której oprócz rywalizacji i współzawodnictwa liczy się obcowanie z górami, przyrodą, ciekawymi ludźmi





i własnym umysłem. Jest to kolejny etap doskonalenia pasji kolarskiej. Bardzo rzadko bowiem ktokolwiek rozpoczyna swoją przygodę z kolarstwem od tak zaawansowanej odmiany tego sportu, jaką jest enduro. – *To najwyższy poziom zakochania w rowerze!* – wyjaśnia, żartując. – *Nikt tego nie zrozumie, jeśli nie zacznie* – dodaje. Deszcz, śnieg czy upał, piasek, błoto i skały, zakręty, zarośla, powalone pnie... – amatorzy tej dyscypliny balansują między grawitacją, szybkością i cały czas wzrastającą adrenaliną. Warunki atmosferyczne dodają tylko pikanterii, a najważniejsza jest niezwykła i zachwycająca sceneria.

Wzbogacony doświadczeniami z eksploracji górskich ścieżek, Piotr postanowił zaangażować się w tę dyscyplinę jeszcze bardziej i spróbował swoich sił podczas zawodów enduro w Świeradowie-Zdroju. Startując na lekkim rowerze do cross-country, zajął wysoką lokatę, a tym samym przekonał do siebie ludzi pełnych pasji, którzy od lat uprawiali ten rodzaj kolarstwa górskiego. Dzięki temu już od 2012 roku Piotr bierze udział w zawodach enduro w różnych górskich zakątkach Polski i za granicą. – *Enduro to dyscyplina uprawiana przez ludzi z pasją do jazdy na rowerze po trudnych górskich ścieżkach. Znaczące ograniczenie własnego komfortu i surowość przyrody to czynniki, które najbardziej mnie pociągają w tym sporcie* – tłumaczy. Obecnie Piotr posiada pięć rowerów dostosowanych do różnych tras treningu

i różnych warunków atmosferycznych. Zimą doskonalili wydolność organizmu, biegając lub jeżdżąc rowerem na długich dystansach po ośnieżonych szlakach. Wzmacnia też wytrzymałość i siłę. Sezon od wiosny do jesieni to seria ciągłych intensywnych wyścigów i pokonywania górskich tras. To zdobywanie doświadczenia w radzeniu sobie z przeszkodami w terenie: stromiznami, skokami, bandami, błotem, kamieniami, ciasnymi zakrętami. Po intensywnych weekendowych zawodach w górach, które są męczące dla stawów i mięśni, przychodzi czas na regenerację, co nie oznacza zupełnego lenistwa! Wówczas Piotr biega lub pływa. Bardzo ważnym elementem treningu i uprawiania tej dyscypliny jest odporność psychiczna – i na panującą rywalizację, i na stres związany z niebezpieczeństwami. Umiejętności te można wypracować jedynie biorąc udział w zawodach i podejmując próby w przełamywaniu własnych ograniczeń. Systematyczne podejmowanie wyzwań związanych z realizowaniem swoich pasji w enduro nie tylko przynosi satysfakcję z samego obcowania z przyrodą i zmagania się z trudnościami, lecz także owocuje sukcesami. W pierwszych Mistrzostwach Polski Enduro Piotr był czwarty w kategorii elita, a w corocznych zawodach branżowych



– Mistrzostwach Polski Leśników w kolarstwie górskim – dwukrotnie zajmował trzecie miejsce. Za największy sukces uważa dwukrotne ukończenie największych i najbardziej prestiżowych zawodów enduro na świecie – Megavalanche (tłum. „Wielka lawina”) w Alpe d’Huez we francuskich Alpach. – *Marzenie o starcie w Megavalanche potraktowałem jako główny cel sezonu –*



tłumaczy. Odważył się, zmobilizował, zainwestował sporo oszczędności w wyjazd, kask typu full face, ochraniacze oraz przeszedł kwalifikacje i... wystartował w „Wielkiej lawinie”. – *Impreza jest naprawdę wyjątkowa! „Downhillowy maraton” odbywa się w niezwyklej scenerii alpejskich szczytów. Trasa wynosi 33 kilometry. Start jest na ośnieżonym wierzchołku Pic Blanc na*

wysokości 3300 metrów n.p.m. Ze szczytu trasa wiedzie krytycznie stromym zboczem na lodowiec, a dalej przez surowe piargi i kolejne piętra lasu, aż do mety położonej w dolinie, 2,5 kilometra niżej. W tym wydarzeniu bierze udział ponad dwa tysiące osób! Naprawdę cieszę się, że udało mi się ukończyć te wyścigi! – opowiada z podekscytowaniem Piotr.

– W zeszłym roku byłem drugim Polakiem na mecie spośród grupy zaawansowanych amatorów. W tym roku udało mi się wystartować wśród profesjonalistów, z czego jestem bardzo dumny. Grupa liczyła trzysta osób, zawody ukończyłem w połowie stawki. Uważam to za duży sukces, bo to najlepsi zawodnicy na świecie. Samo zakwalifikowanie się do startu z nimi to nie lada wyczyn! Wyścig kwalifikacyjny jest nie mniej wymagający od startu głównego. Jak już spadniesz w przepaść, to żadne ochraniacze nie pomogą, więc trasa jest naprawdę niebezpieczna. Często cały organizm mówi: dość, a mózg przekonuje: dociśnij, bo będziesz żałował! – wspomina.

– A jakie emocje towarzyszą na mecie? Człowiek nie wierzy, że jest w jednym kawałku! Jest nieopisana euforia i przekonanie o chęci wystartowania w przyszłym roku, z jeszcze lepszym przygotowaniem, by podnieść swój poziom i polepszyć pozycję na liście wyników. I zrobię wszystko, by tak było.

Jak można nie kochać polskiej szabli?

Mam w ręku obszerną publikację albumową: format A4, twarda okładka, ponad dwieście stron, a wewnątrz... zbiór broni białej z licznymi fotografiami i wyczerpującymi opisami. Nie da się ukryć podziwu i zaskoczenia: skąd pasja do kolekcjonowania właśnie broni białej, a co więcej, chęć stworzenia tak nietypowego albumu zatytułowanego „Szabel nam nie zabraknie... Broń biała żołnierza polskiego z XVIII–XX wieku”? Na rozmowie z Pawłem, autorem tej publikacji, spotkałam się w zaciszu jego domowego gabinetu, oczywiście w towarzystwie... szabel i pałaszy. Moje zdumienie zaangażowaniem w rozwijanie tej dość nietypowej pasji kolekcjonerskiej rosło z każdą chwilą.





Z zamięłowania do broni i munduru oraz mobilizowany aspiracjami rodzinnymi, ukończył leśnictwo na poznańskim Uniwersytecie Przyrodniczym. Wychowany na wsi, gdzie przestrzeń przyrodnicza była rzeczą naturalną, szybko zaczął dostrzegać jej brak, mieszkając w dużym mieście. Przez piętnaście lat chodził w zielonym mundurze, piastując różne stanowiska w Nadleśnictwie Przedborów. Później zdecydował się założyć prywatną firmę świadczącą usługi z zakresu gospodarki leśnej dla Lasów Państwowych, choć nie tylko. Trwa przy tym zajęciu już od dwudziestu lat. Natomiast od ponad czterdziestu pieczołowicie oddaje się gromadzeniu broni białej żołnierza polskiego. Początki tej fascynacji są niewinne – Paweł otrzymał bowiem pierwszą „małą pruską szabelkę” od swojego kolegi jeszcze w liceum. Ma ją oczywiście do dziś, ale ta mała szabelka wzbogaciła się o towarzystwo około dwustu szabel i pałaszy o niezwyklej wartości, nie tylko materialnej. – *Jak można nie kochać polskiej szabli?* – pół żartem dziwi się Paweł, kiedy dopytuję o taki wybór tematu kolekcjonerskiego. – *W mojej rodzinie od zawsze były zakorzenione patriotyzm i tradycje wojskowe. Zawsze też marzyłem, by zostać generałem, więc interesowałem się bronią od dawna* – kontynuuje z uśmiechem.

– *Ze względu na panujące w Polsce prawo mogłem kolekcjonować jedynie broń białą, a polska szabla, pałasz i szpada wydały mi się najbardziej interesujące.* Obecnie liczny zbiór broni białej żołnierza polskiego, który posiada Paweł, jest kompletny i należy do największych kolekcji w Polsce. Paweł ma każdy wzór i model od wszystkich producentów. Pozostaje mu jedynie wymieniać egzemplarze w gorszym stanie na te lepsze. Zbiór ten, choć skupia się wyłącznie na broni białej używanej przez Wojsko Polskie, zawiera także egzemplarze obce, bo przecież przez cały wiek XIX nikt w Polsce nie produkował takiej broni. – *Są to szable używane regulaminowo przez żołnierza polskiego, ale obcego pochodzenia. Mam więc modele szabel angielskich, austriackich, francuskich, pruskich i rosyjskich* – opowiada Paweł. Zanim jednak doczekał się tak bogatego zbioru, musiał przede wszystkim pojąć odpowiednią wiedzę na temat kolekcjonowanych przedmiotów, by nie wejść przypadkiem w posiadanie egzemplarzy małowartościowych lub, co gorsza, falsyfikatów. Ze względu na często niemałą cenę szabel miał też pewne przestoje we wzbogacaniu kolekcji. W realizowaniu tej pasji istnieją trudności związane nie tylko z coraz częściej spotykanymi falsyfikatami, lecz także



ze znalezieniem wyjątkowych, nielicznych niestety egzemplarzy w dobrym stanie oraz w atrakcyjnej cenie. Paweł kontaktuje się więc z innymi kolekcjonerami, śledzi aukcje na stronach internetowych oraz w domach aukcyjnych. – *Od czasu do czasu zdarza się na rynku wysyp ciekawych, cennych szabel – kiedy umiera kolekcjoner, a rodzina zupełnie nie docenia tej pasji. Wówczas można zdobyć całą kolekcję w naprawdę rozsądnej cenie* – tłumaczy mi Paweł. Trzy lata temu, dzięki doświadczeniu i wciąż niegasnącej pasji, wydał niezwykle album „Szabel nam nie zabraknie...”, a od czterech lat organizuje liczne wystawy, między innymi w Lubuskim Muzeum Wojskowym w Zielonej Górze, Muzeum Historyczno-Archeologicznym w Głogowie, ostrzeszowskim ratuszu czy Ośrodku Kultury Leśnej w Gołuchowie, a także w Centrum Wyszkozenia Służby Więziennej w podkaliskim Szczypiornie. W przygotowaniu są wystawy w poznańskim Muzeum Powstania Wielkopolskiego, a także w krakowskim Muzeum Narodowym. Za prawdziwy skarb uznaje „złote szable Prezydenta Rzeczypospolitej”. – *Choć złote są one oczywiście tylko z nazwy, jedynie rękojeść jest pozłacana* – tłumaczy mi Paweł. – *Są to niezwykle szable z dwudziestolecia międzywojennego, wręczane prymasom szkół oficerskich od prezydenta Rzeczypospolitej. Na zdobionej głowni mają wygrawerowane*



imię i nazwisko prymusa, nazwę kończącej podchorążówki oraz datę promocji. Obecnie znamy posiadaczy zaledwie dwudziestu trzech takich szabel. Historycy wojskowości szacują, że było ich niespełna sto czterdzieści, więc nie tracimy nadziei na odnalezienie następnych. Ja jestem właścicielem aż dwóch i uznaję je za najcenniejsze w kolekcji – wyjaśnia z satysfakcją. Obecnie skoncentrował się na kolekcjonowaniu szabel imiennych i wie, że ten zbiór nigdy nie będzie pełen. Grupa kolekcjonerów tego typu broni jest stosunkowo mało liczna – liczy



w Polsce kilkadziesiąt osób, a mimo to konkurencja jest spora. Również dostępność takich szabel jest ograniczona, co jeszcze bardziej motywuje, by poświęcić się poszukiwaniom nietuzinkowych egzemplarzy. Paweł jest obecnie posiadaczem około sześćdziesięciu szabel imiennych. W zbiorze tym znajduje się między innymi broń generałów Romana Abrahama, Tadeusza Kutrzeby, Kazimierza Sosnkowskiego, Franciszka Włada czy premiera Felicjana Sławoj-Składkowskiego, a także wielu innych oficerów, nie mniej zasłużonych dla kraju.

Zafascynowany kontekstem historycznym oraz biogramami właścicieli tych szabel, Paweł zamierza wydać kolejny album dotyczący wyłącznie szabel imiennych. Obecnie jest w trakcie gromadzenia materiałów do tej publikacji, co jest nie lada wyzwaniem. Chce bowiem, żeby obok fotografii i opisu szabel, książka zawierała także informacje na temat historii ich właścicieli. Paweł doszukuje się ich w różnych źródłach, między innymi w Centralnym Archiwum Wojskowym. – *Popierajmy kolekcjonerstwo* – przekonuje mnie. – *To zawsze rozwija, gdyż wiąże się z koniecznością zdobywania wiedzy. Jednocześnie tworzy też niezbywalne wartości i jest źródłem informacji dla przyszłych pokoleń. Dlatego warto swoją kolekcję upubliczniać, dzielić się nią* – wyjaśnia. Na jednej z pierwszych stron albumu widnieje dedykacja dla żony – podziękowanie za wyrozumiałość i cierpliwość. – *Jest jeszcze niestety druga strona kolekcjonerstwa, ta ciemniejsza* – dodaje Paweł, kiedy pytam o zamieszczoną w książce dedykację. – *Może to być pasja wręcz zabójcza dla rodziny. Jeśli ktoś czerpie środki na kolekcjonerstwo z nadwyżek finansowych, to wszystko jest w porządku. Gorzej, jeśli idą na to środki konieczne do funkcjonowania rodziny. Wówczas robi się to szkodliwe. Zawsze trzeba zachować umiar i równowagę.*

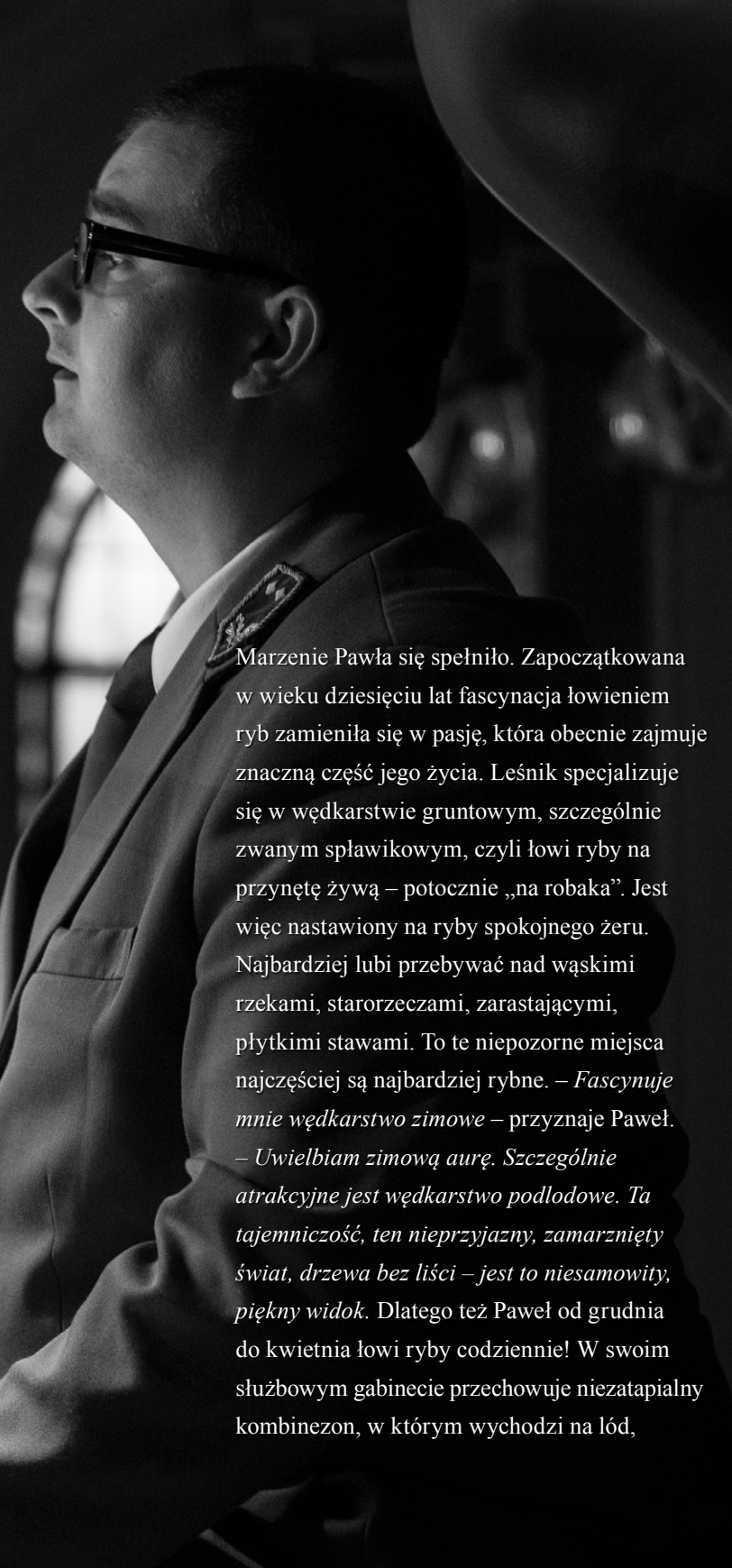
Tafla wody to bariera, która kryje za sobą pewną tajemnicę

Sierakowski Park Krajobrazowy – potocznie nazywany Krainą Stu Jezior – to niepoznane knieje z puchaczami, bielikami i wilkami. Paweł wyciąga z samochodu wędki, wiadra i ruszamy w stronę jeziora z wąskim, lichym pomostem. – *Ale będziesz miała materiał, jak zanurkuje* – śmieje się, rozkładając sprzęt. Ja natomiast biegam wzdłuż brzegu, między krzewami z aparatem fotograficznym i szukam odpowiedniej perspektywy. W głębi duszy sama zastanawiam się, jaki to materiał fotograficzny będzie, jeśli to ja z roztargnienia wpadnę do wody. Paweł wyjmuję jedną wędkę, drugą i... zaczyna swoją opowieść.

– *Moja pasja wędkarska ściśle wiąże się z wyborem drogi zawodowej i chęcią zamieszkania właśnie w okolicy Sierakowa* – oznajmia Paweł, a ja nie kryję zaskoczenia. – *W dzieciństwie przyjeżdżałem tu z ojcem ornitologiem. Tata chodził na ptaki, a mnie zawsze fascynowali panowie z kijami siedzący nad wodą* – opowiada dalej z uśmiechem. – *I tak zacząłem wędkować. Najpierw więc było wędkarstwo, zachwyt Sierakowem, a później leśnictwo* – przyznaje. – *Zawsze marzyłem, by pracować i mieszkać w tej okolicy.*







Marzenie Pawła się spełniło. Zapoczątkowana w wieku dziesięciu lat fascynacja łowieniem ryb zamieniła się w pasję, która obecnie zajmuje znaczną część jego życia. Leśnik specjalizuje się w wędkarstwie gruntowym, szczególnie zwanym splawikowym, czyli łowi ryby na przynętę żywą – potocznie „na robaka”. Jest więc nastawiony na ryby spokojnego żeru. Najbardziej lubi przebywać nad wąskimi rzekami, starorzeczami, zarastającymi, płytkimi stawami. To te niepozorne miejsca najczęściej są najbardziej rybne. – *Fascynuje mnie wędkarstwo zimowe* – przyznaje Paweł. – *Uwielbiam zimową aurę. Szczególnie atrakcyjne jest wędkarstwo podlodowe. Ta tajemniczość, ten nieprzyjazny, zamrznięty świat, drzewa bez liści – jest to niesamowity, piękny widok.* Dlatego też Paweł od grudnia do kwietnia łowi ryby codziennie! W swoim służbowym gabinecie przechowuje niezatapialny kombinezon, w którym wychodzi na lód,

by zaraz o godzinie piętnastej przebrać się i wyruszyć na akweny. Wiosną i latem jego aktywność wędkarska jest zdecydowanie mniejsza. Paweł nie jest amatorem jedzenia ryb. Chętnie jednak dzieli się z przyjaciółmi swoimi złowionymi okazami. Ma też ulubione gatunki, które darzy szczególną sympatią i zawsze je wypuszcza. Są nimi ryby rzeczne, prądolubne, na przykład kleń, jaź oraz rodzimy złoty karaś. Czasami zdarza mu się złowić rybę medalową – o rekordowej masie lub długości, według norm ustalonych dla konkretnego gatunku. W tym roku udało mu się schwycić na wędkę klenia o wadze 1,7 kilograma, a jego największą zdobyczą jest amur – ponad 7 kilogramów. – *Nie nastawiam się na wielkie okazy. Mam przyjemność z łowienia ryb średnich. Lubię obcować z wodnym środowiskiem i cieszę się, kiedy ryba współpracuje* – podkreśla Paweł. Zaprzecza też tezie, że wędkarstwo uspakaja. Dla

niego wiąże się ono z dużymi emocjami, szczególnie gdy rywalizuje z kolegami. Jak każda pasja, również wędkarstwo oznacza znaczne koszty. Paweł ma ponad dwadzieścia wędek, z których korzysta w zależności od sposobu i miejsca połowu. Wybierając się na ryby, zabiera ze sobą: kołowrotki, żyłki, spławiki, ciężarki, podbierak, siatkę do złowionych ryb, pojemniki, przynęty, zanęty, miarkę, podpórki i... oczywiście wędkę.

Choć oprzyrządowania jest sporo, a podczas jednego połowu czasem traci na podwodnych przeszkodach nawet trzydzieści haczyków, to jest to zajęcie dla niego fascynujące. – *Tafla wody to bariera, która kryje za sobą pewną tajemnicę* – zdradza swoje postrzeganie, kiedy pytam o fenomen wędkarstwa. – *Oczywiście można się spodziewać po danym akwenie, jaka ryba tam występuje, ale zawsze jest możliwa jakaś niespodzianka i nigdy nie wiadomo, co weźmie* – dodaje. – *To wcale nie jest nudne! Wędkarstwo to nie tylko wpatrywanie się w taflę wody i czekanie na drgnięcie spławika. Każda woda jest inna, w każdej występują inne ryby i zawsze może nas spotkać coś zaskakującego* – uzasadnia Paweł.

Oprócz wielkiego zainteresowania wędkarstwem i przesiadywania całymi dniami w niezwyklej scenerii sierakowskiego parku, ma on jeszcze inną nietypową pasję. – *Jan Sebastian Bach powiedział, że talent muzyczny to pięć procent, a dziewięćdziesięciu pięciu procent można się nauczyć* – przekonuje mnie

Paweł. – *Do gry na organach zachęciły mnie właśnie te słowa i mój uparty charakter* – dodaje, kiedy z zaciekawieniem dopytuję właśnie o te umiejętności. – *Nie mam talentu muzycznego, słuchu muzycznego, wiedzy muzycznej ani wykształcenia* – zarzeka się Paweł. – *Ale od kilku lat gram w kościele i wydaję z siebie dźwięki imitujące śpiewanie* – dodaje bardzo skromnie.

Kontakt ze światem muzyki miał już w szkole podstawowej. Wówczas pod przymusem nauczycielki muzyki, jak inne dzieci, nauczył się czytać nuty i grać wymagane utwory muzyczne na pianinie. Później zafascynowały go organy kościelne. – *To wyjątkowy instrument, który zawiera w sobie dźwięki imitujące inne instrumenty* – z ekscytacją przekonuje i demonstrować grę w kościele w Lutomiu.

– *Są więc tu dźwięki typowe dla organów, czyli pryncypałowe, ale także fletów, trąbek czy smyczków* – dodaje, odtwarzając każde z nich.

Duże wrażenie zrobił też na nim przyjaciel – organista z sierakowskiego kościoła, który wykonuje tę posługę szczerze, a jego gra i śpiew płyną prosto z serca. Paweł, zainspirowany organami oraz postawą znajomego, sam teraz gra na tym instrumencie w kościele w Zatomiu Starym oraz na zastępstwie w Sierakowie i Lutomiu Starym. Cały czas szlifuje utwory sakralne na domowych organach, ćwiczy pracę rąk, nóg, słuch muzyczny oraz głos, a świat właśnie tych dźwięków coraz bardziej go pochłania.



Moim życiorysem jest las

Czterdzieści siedem lat. Tyle czasu moja babcia spędziła w lesie, jako żona leśniczego. Opowieści o czasach mi bardzo odległych, miejscach, które już nigdy nie będą takie same jak we wspomnieniach babci, i ludziach, którzy odeszli, a ich historię będą pamiętały drzewa i leśne ścieżki, towarzyszyły mi od dzieciństwa. Wspomnienia rozmów z babcią powróciły podczas spaceru z Andrzejem i jego żoną Anią, między jednym z pierwszych posadzonych przez niego drzewostanów a ostatnim – tuż przed pójściem na emeryturę. Przytaczane przez emerytowanego leśnika historie pokazały umykający czas zamkniętym w kłamrach wzrastających drzew.

Czterdzieści siedem lat. Tyle czasu spędził na pracy w lesie Andrzej Skibiński. Odbywał praktyki w Nadleśnictwie Żegrowo, był podleśniczym i rachmistrzem w kancelarii nadleśnictwa. Po dwunastoletniej przerwie, ze względu na problemy zdrowotne i zajmowanie się lasem w resorcie rolnictwa, został leśniczym w leśnictwie Ziemiń – tym samym, gdzie wcześniej pracował jego ojciec. Na stanowisku leśniczego Andrzej pozostał aż do emerytury.



Andrzej ma leśnictwo we krwi. Pradziadek, dziadek i ojciec – wszyscy leśnicy, choć w innych nadleśnictwach. Zarówno za czasów lasów majątkowych, jak i hrabiowskich włości, a także już po upaństwowieniu terenów leśnych. Jak stwierdza Andrzej, dziedziczenie profesji leśnej na terenie Doliny Obrzańskiej jest zjawiskiem dość powszechnym.

Przekazywanie tej tradycji i wartości związanych z wykonywaniem pracy leśnika odegrało w jego rozwoju ogromną rolę: – *Ojciec był wzorcem absolutnym. Dostałem tę profesję jakby w spadku i nie wypadło nic spaprać* – przyznaje z powagą. Praca była więc nie tylko codziennym obowiązkiem, ale przede wszystkim pasją, wypełniającą niemal najmniejszy skrawek życia.

Pobudka już o trzeciej rano, by uporać się z codziennymi zadaniami biurowymi. Jak tylko wstawał dzień, Andrzej ruszał w teren, bo *miejsce leśnika jest w lesie* – taką zasadą się kierował. Pracował więc siedem dni w tygodniu, o każdej porze. – *Nawet w niedzielę, zaraz po kościele, Andrzej sprawdzał uprawy, czy zwierzyzna nie weszła i czy wszystko jest jak należy* – śmieje się żona. A urlop? – *Był doskonałą okazją, by jeszcze więcej posiedzieć w lesie i dokładniej mu się przyjrzeć!* – nie ukrywa.

Takie postrzeganie zawodu leśnika przekazał mu ojciec, naśladowujący wzorce panujące w czasach pracy u ziemian. Jak podkreśla Andrzej, nie było tam miejsca na bylejąkość, liczyło się rzetelne wypełnianie obowiązków. Tego też wymagał od swoich pracowników

i to starał się przekazać innym. – *Możesz wejść do lasu po pięćdziesięciu latach i nie da się nie zauważyć, jeśli ktoś popełnił błędy. Las jest moim życiorysem. Niepotrzebna jest żadna dokumentacja* – mówi.

Przywiązanie do terenów leśnych Doliny Obrzańskiej, umykający czas, zanikające historie, ludzie i miejsca spowodowały, że Andrzej zaraz po odejściu na emeryturę postanowił te „życiorysy skryte w lesie” odnaleźć, poznać i przełać na papier. Choć doskonale znał dzieje lasów z najbliższych okolic od swojego ojca, to chciał spisać ginące historie. Obawiał się bowiem, że za chwilę pamięć o nich zniknie i nikt ich już nie odtworzy. Podjął więc trud odszukania najstarszych żyjących leśników i ich potomków. Czasem przez przypadek, w niezwykłych splotach okoliczności, spotykał ludzi, których prawdziwym skarbem okazały się pamięć i wiedza. Telefonował, pisał listy, odwiedzał otwartych na rozmowę seniorów, którzy z wielkim sentymentem wracali do minionych czasów i dzielili się osobistymi przeżyciami, często udokumentowanymi archiwalną fotografią. Andrzej słuchał i notował. Udało mu się nawet skontaktować z mieszkającą w Belgii Zofią Żółtowską – potomkinią hrabiowskiego rodu Żółtowskich z Czacza. To oni w czasach ziemiańskich byli posiadaczami wielu lasów Doliny Obrzańskiej. W jednym z ich majątków pracował także ojciec Andrzeja. Niezliczone strony notatek, niezwykłych rozmów i miłych spotkań oraz godzin poświęconych poszukiwaniom



zaowocowały wyjątkowymi publikacjami. W 2008 roku zostały wydane „Wspomnienia z lasów nadobrzezańskich”, a w 2014 roku, wzbogacona o nowe, pięcioletnie poszukiwania i odkrycia „leśnych życiorysów” – książka „Lasy Doliny Obrzańkiej”. Publikacja ta zawiera około stu biogramów i jest wzbogacona licznymi fotografiami. A wszystko to Andrzej spisywał ręcznie na kartkach papieru! – *Często musiałem korygować powstające biogramy, gdyż zdarzało się, że rozmówca nagle umarł. To mnie jeszcze bardziej mobilizowało do pracy. Bałem się, że nie zdążę* – wspomina. Teraz Andrzej ma siedemdziesiąt pięć lat. Po długim czasie spędzonym w lesie, wysłuchaniu i spisaniu ogromnej ilości wspomnień być może bardziej dociera do niego świadomość, że czas ucieka, a to świadczy o tym, że nam lat przybywa.

Nieśmiało zdecydowałam się zapytać Andrzeja i jego życzliwą małżonkę Anię o receptę na udane życie. I co usłyszałam? – *Trzeba przyjąć swoje decyzje za właściwe. Nawet gdy okazują się błędami, to umieć je akceptować. Gdyby się miało receptę na szczęście, to życie byłoby monotonne – z wielką rozwągą uświadamia mi Andrzej. Dodaje jednak, że najważniejsza jest wyrozumiałość i umiejętność zrobienia kroku w tył, by coś naprawić. Zwrócił też uwagę na zatracaną obecnie umiejętność empatii. Jego zdaniem niezwykle ważne jest, by dostrzegać w każdym człowieka i być dla niego życzliwym. Choć Andrzej w swoim domu szczyci się obecnie potężnym zbiorem trofeów łowieckich na ścianie, to z uśmiechem stwierdza, że po latach inaczej postrzega polowanie. – Dziś zdecydowanie wolę popatrzeć niż strzelać.*



LEŚNICY Z PASJĄ

© 2015 Agata Ożarowska-Nowicka

**Wykonano na zlecenie
Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych
w Poznaniu**

ul. Gajowa 10, 60-959 Poznań
tel. 61 668 44 11, faks 61 668 44 10

**Tekst i zdjęcia
Agata Ożarowska-Nowicka**

**Korekta
Małgorzata Haze Redaktorka.pl**

**Projekt graficzny, DTP
Joanna Kozek**

**Wydawnictwo Quercus
Tomasz Dębiec
+48 667 869 976
kontakt@wydawnictwoquercus.pl
www.wydawnictwoquercus.pl**



ISBN 978-83-64084-09-6



**Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Poznaniu**



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Poznaniu

ISBN 978-83-64084-09-6